Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Daniele w lasach pszczyńskich. Fot. P. Poloczek.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 4 (816) 1 LUTEGO 1936 R.



Zanim zagra trąbka. Fot. J. hr. Żółtowski.

MIKOŁAJ HUSSOWJAN — PIEWCA ŻUBRA.

(W 400 ROCZNICĘ ZGONU POETY).

(Dokończenie).

Starożytny Homer, a później Wergiljusz, do swych poematów chętnie wprowadzają epizody, uboczne dla tematu. Toż samo, w stylu starożytnych pisarzy, czyni Hussowjan w poemacie: De statura feritate et venatione bisontis. Dygresje jednak Hussowjana nie są oderwanemi epizodami. Odwrotnie, urastają one 1) na tle polskiego kraju i jego mieszkańca żubra i dodają do obrazu piękna i siły — są to przeważnie uboczne żubrowi tematy myśliwskie oraz 2) dygresje dowolne, zawierające ukryte intencje autora. Do tych należą: słów kilka o Erazmie Ciołku, biskupie płockim; o grozie niebezpieczeństwa dla Polski ze wschodu i zachodu (muzułmanizm i krzyżactwo) wreszcie o pogańsko-chrześcijańskiej Litwie i wielkim księciu Witołdzie, jak wzmiankowałem wyżej.

Pójdźmy więc z autorem do naszego z przed 400 lat kraju, bogactwa jego ziemi, lasów i morskiego wybrzeża: „Do najbliższych brzegów, powiada poeta, dobija mnóstwo okrętów, na których wre od handlu wszelakim towarem. Bogate rzeki płyną przez cały kraj, przyciągając ku sobie szybkie, pełne darów łodzie" *). I jeszcze: „Obfita w płody ziemia przy umiarkowanej pracy wyposaża żyzne pola w bogate zbiory. Siła bydła pasie się po polach i lasach. To tu, to ówdzie spostrzegamy chyże konie, które dowożą płody na cudzoziemskie okręty. Cokolwiekby się zjawiło w obcym kraju, Polacy wszystko mają u siebie, ale, mimo wszelakiego rodzaju bogactwa, ponad wszystko kochają swoją knieję; nietylko dla piękna jej zielonej szaty, ale również dla korzyści, które z niej płyną: moc miodu, wosku, okrętowej smoły, skóry na zimową odzież, co tak chętnie nabywają kupcy. Stąd też na bezdrożne morza idą dęby do budowy okrętów, lub domów w bezleśnych krainach. A pola, mieniące się od kwiecia, które kmiecy lud uprawia między dziewiczemi puszczami, a barcie na wierzchołkach drzew, a roje brzęczących pszczół? A ponadto bez liku ptactwa, które biją z łuku, lub palnej broni *). Między ptactwem góruje z wielkości i wagi większy od karmnej gęsi ptak — głuszec, *tetrao*, jak zowie go Plinjusz; te ptaki całemi stadami spotykamy w kniei. A jakiż to zachwyt dla myśliwego widzieć, gdy pada ten zestrzelony olbrzym? Wszak to podwójna przyjemność: i smaczne mięso i radość dla duszy!

Zwierza jest taka mnogość, że pętle i sieci, jeżeli je kto zastawia, nie mogą pozostać bez zdobyczy".

W dygresjach mamy również przepiękną sylwetkę celności i dokładności strzału ówczesnego żołnierza i myśliwca, a również cel i znaczenie polowania dla myśliwego. Myślistwo odmładza i odświeża u człowieka wzrok, słuch i t. d., wyrabia w nim zręczność, potęgę ducha i szybkość decyzji.

*) Innumerae quamvis veniant ad proxima naves
Littora, quae varia fervere merce solent,
Flumina decurrunt totas ditantia terras
Adnectunt celeres numiferasque rates.

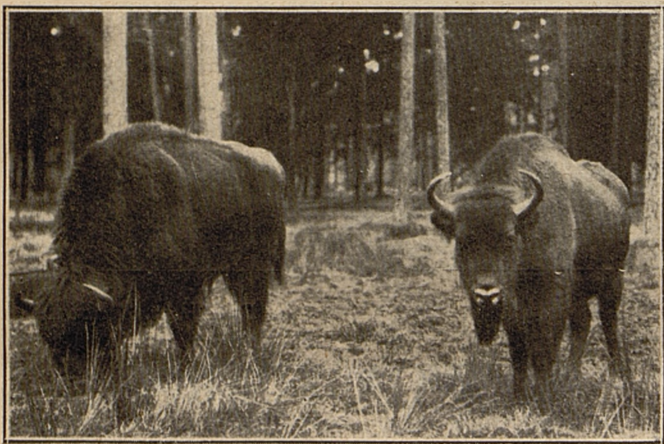
*) Multae bombardis deliciuntur aves. Są to czasy przełomowe w Polsce, kiedy „bombarda" — (bombus — ardeo) broń palna zaczęła wypierać oszczep i łuk.

Hic labor et menti prodest et fortia durat
Corpora, quae senio firma gravante manent
Et longos hominum vitam producit in annos,
Usibus ut veris experimenta probant
Multaque protendit sine cano tempora crine,
Exacuit sensus, perspicuosque facit.

(„Ta praca—myślistwo—pożyteczną jest dla umysłu i wzmocnienia ciała, które do starości pozostaje mocne i na wiele lat przedłuża życie ludzkie; na rzeczywistych wypadkach wyrabia doświadczenie i wiedzie człowieka przez długie lata bez siwego włosa, zaostrza zmysły i czyni je czułemi)".

A jakże pięknie w XV i XVI w. u Hussowjana wygląda polowanie z ogarami w polskiej kniei:

„Gdy od drżącego, urywanego ujadania psów wstrząśnie się powietrze, jakiż ten dźwięk stwarza bodziec ducha! Jakie wrażenie wywiera wśród głębokiej ciszy, wdzierająca się do uszu psia wrzawa, to wzmagająca się, to opadająca na tysiączne sposoby. Jakie uczucie wywołuje wówczas dziki ryk rozjuszonego niedźwiedzia, którego wstrzymuje oszczep, lub pomruk ugodzonego dzika. A jakie emocje wzniecają zadane ciosy okrutnemu żubrowi, gdy dziki jego ryk, jak grzmot się rozlega, a on oszalały i wściekły ma pozór widma?!



Żubry w Pszczynie. Fot. P. Poloczek

A do jakiego stopnia napięcia dochodzą wówczas nerwy i do jakich pomysłów jest wówczas zdolny człowiek? Czyż umysł wówczas nie sięga do szczytu rzeczy? I czy nie staje się jasnem to, co przedtem gdzieś się ukrywało, i czy nie wypada wówczas zastanowić się nad ciężkim losem ojczyzny i podejść do zagadnienia, w jaki sposób należy jej przyjść z pomocą?... A niekiedy, gdy losy sprzyjają, myśl zapada w przyjemny stan błogi, aby bardziej, niż lek wszelki, przynieść ulgę ciału.

Ktokolwiek pójdzie w ślad za głosem miłego myślistwa, w trudach kniei będzie terał swe członki, lub wśród wysokiego lasu będzie napawał się słodyczą łowiectwa, by go nie nękała przewlekła tęsknota, ten będzie żartował ze wszystkich lekarzy, będzie pędził jak najdłuższy żywot, nie będzie szukał pomocy w sztuce leczniczej i uszczuplał swe ciało przez osłabiające medyczne środki".

Tyle o łowiectwie.

Dla porządku należy omówić jeszcze te sui generis dygresje, zawierające ukryte intencje autora, mianowicie: zjednać dla Polski i Litwy, oraz dla rzecznika naszych interesów, biskupa Erazma Ciołka, przychylne względy Stolicy Apostolskiej. Delegacja polska u niej szukała sprzymierzeńca i obrońcy przed zalewem ze wschodu ludów chrześcijańskich przez barbarzyńskie hordy Turków i Tatarów i przed krwiożerczemi zapędami zakonu krzyżackiego z zachodu. Na Stolicy Apostolskiej wówczas zasiadał Leon X, zagorzały myśliwy, który corocznie spędzał jesień na łowach i rykowiskach jeleni w lesistych pagórkach Viterbo, Bolseny, Toscanelli oraz w nieprzejrzanej kniei Civita Vechia. W polowaniu brał udział niemal cały dwór papieski: kardynałowie, biskupi, prałaci, dalej muzykanci, aktorowie, wytrawni łowczowie i sidlarze. Obozowisko łowieckie naliczało do 2000 ludzi *). Dla papieża myśliwego był więc napisany poemat przez Hussowjana i umieszczone dygresje, o których mowa. Losy jednak zrządziły inaczej. Nie doszedł do rąk Leona X ani poemat o żubrze, ani też skóra, na którą oczekiwano z Wilna, bo 1 grudnia 1521 r. umarł papież Leon X, w kilka tygodni zmarł wojewoda wileński książę Mikołaj Radziwiłł, a w niespełna rok po śmierci Leona X umiera Erazm Ciołek w Rzymie.

Autor nie może spokojnie zakończyć poematu o żubrze, bo wypada mu pióro z ręki na myśl o przyszłych losach Europy, względnie Polski, zagrożonej przez miecz półksiężyca. Klęska za klęską się szerzy, lud idzie w jasyr, a znikąd niema ratunku i pomocy. Na dworach brak jedności, dobrych chęci; panuje natomiast gnuśność, prywata i wzajemne swary. „Quid faciunt reges?" woła poeta — i wraz odpowiada: „Dormire videntur!" — Śpią oczywiście. W tym stanie rzeczy w smutku chrześcijańskim autor ucieka się z żarliwą modlitwą do Dziewicy Matki Boskiej, u Niej szukając jedynie pomocy... Pięknie to przetłomaczył wierszem ś. p. Jan Kasprowicz:

Dziewico Matko Boża! Gdym pragnął Twe Imię
Wypisać tutaj, z trwogi zadrżała mi dłoń i t. d. **).

Na zakończenie należy dodać, że prace naukowe dookoła dzieł Hussowjana dalekie są od wyświetlania kwestji, dotyczącej tak wszystkich utworów poety, nazwiska, miejsca i daty urodzenia, jak również miejsca i daty zgonu, aczkolwiek badania prof. Jana Pelczara zdziałały bardzo wiele pod względem wyświetlenia talentu i znaczenia poety z okresu humanizmu w Polsce ***).

Mimo to, szersze koła społeczeństwa polskiego, dla braku przekładu z języka łacińskiego utworów poety, dotychczas były pozbawione możności zapoznania się nawet z treścią czołowego utworu poety: De statura feritate et venatione bisontis.

Ponieważ ostatnia wzmianka o życiu poety dotyczy roku 1534, a od roku następnego ślad wszelki o nim zaginął, należy wnioskować, że rok 1935 może być istotnie 400 rocznicą zgonu poety.

Współcześni Hussowjanowi humaniści polscy doczekali się uczczenia ich zasług nadaniem nazw chociażby niektórym powstałym obecnie ulicom w Warszawie. Nie mówię o Koperniku. Mamy np. ulicę im. Dantyszka, Górnickiego, Krzyckiego, Kromera, Ładysława... O Hussowjanie zapomniano.

Czyżby ten pierwszy świecki polski poeta, pierwszy piewca żubra i kniei polskiej, nie zasłużył na to, by potomna brać łowiecka uczciła go umieszczeniem przynajmniej pamiątkowej tablicy w Białowieży, w okolicach której, jak wynika z treści poematu, poeta spędził swą młodość na wędrówkach łowieckich i tak przepięknie opisał jej mieszkańca żubra i polskie łowy?

JÓZEF STANISŁAWSKI.

*) K. Hartleb. Działalność kulturalna Erazma Ciołka, r. 1929, Lwów, wydanie N. T. M. K.

**) Dopiero w dobie obecnej po długiej tułaczce poemat Hussowjana w tłomaczeniu J. Kasprowicza ukazuje się w druku. Lwów. Wydanie R. Gaszyńca.

***) Corpus poëtarum polonorum. Ioannes Pelczar, Cracoviae. Anno 1894.

W BIAŁEM FUTRZE PO RUDE FUTERKA.

Znów śnieg... Biały, puszysty, lutowy śnieg.
Jaskrawo połyskująca, miljonem brylancików rozmigotana królewska szata otuliła szczelnie brudne ubóstwo tegorocznej zimy. — Cieszy się myśliwskie serce. — Na bezkresie puchowego całunu, rozwichrzonego w oddali niesforną czupryną nadjeziornych chaszczy, ciągną się rozliczne, przemyślnie zaplątane tropy, wtłoczone, jak paciorki, jeden za drugim, w sypki puch. Obiegają całemi kilometrami pola, zaglądają pod każdy krzak, w każdą niemal bróżdę. To ślady wędrówki chytrego lisiska.

Luty — to okres jego największej ruchliwości. Ileż to mądry mykita ma pracy! Walka o byt, łowy, zaloty... A przytem śnieg spłatał mu figla. Przysypał wysoko mysie nory, zakrył zdradziecko zastawione pułapki, ujawnia każdy, choćby najtajniejszy krok rudego włóczęgi.

Gęsty zagajnik skrył się pod przytłaczającą go bielą. W trudzie niezmiernym wygięły swe grzbiety gałęzie, dźwigające grube, obwisające płaty śniegu.

Wtem coś ruszyło się w głębi. Przemknął się wężowym ruchem jakiś rudy kształt. Z gałęzi, trąconej zapewne, sypnęły się ciężkie okiście, rozpyliła się srebrna, rozmigotana kurzawa. Z poza niej dużym susem wypadł lis.

Olśnił go blask śniegu, bo przysiadł, zmrużył szpary chytrych ślepi, wyciągnął długi pysk. Wietrzy... Piękna, puszysta kita, której koniuszek najeżył się pękiem srebrzystych włosków, chwieje się na boki zadowolonym ruchem. Rusza w pole. Grzęznąc w głębokim śniegu, z którego tu i owdzie wychyla się źdźbło zasypanej trawy, poczyna odgrzebywać jakąś norę. — A może uda się schwytać myszkę, lub smacznego kreta? Lisi karnawał niezawsze jest mięsopustny...

Nagle drgnął... Wiatr przyniósł coś, co go zaniepokoiło bardzo. Wyprężył się — słucha. Jakiś pogwar... Ludzie! — Skręcił w miejscu, zawinął kitą i rzucił się ku zagajowi. Mignęła na moment wydłużona, ruda sylwetka zwierzęcia, posypały się białe kiście. Zniknął.

*

Tegoż dnia po drutach telegraficznych poleciała do odległego miasta depesza: „Przyjeżdżaj — lisy — białe futro — Tadeusz".

Fala radości buchnęła do biednego dziennikarskiego serca z tych kilku słów.

Nareszcie coś! Po nudach miejskiego życia, wtłoczonego w klatki ciasnych, czynszowych mieszkań, — w przestrzeń, na śnieg, na pola, na łowy!

*

Wściekła wichura szarpała płatki śnieżne za oknami myśliwskiego gabinetu. Jest ciepło i przytulnie. Wloką się dymy papierosów po ścianach, które zdobi las rogów. Groźnie wyolbrzymione cienie padają od rozłożystych wieńców jelenich. Wokół nich całe sznury koźlich parostków. Ówdzie znów gwiździel dzika lśni białemi szablami.

Płyną myśliwskie gawędy. Leniwo rozpełzają się niebieskie dymy... Wtem stuknął ktoś w szybę.

„Rozwidnia się, jeno wiater mocno dmucho" — dochodzi z zewnątrz głos stróża. Na to hasło powstaje w gabinecie ruch. Myśliwi szybko narzucają na siebie futra, pokryte białym pokrowcem, takież, szczelnie przylegające czapy, chwytają dubeltówki i wymykają się na dwór. Pochłania ich zimna szarość, wiatr podrywa poły odzieży. Oko zwolna obejmuje coraz dalsze widoki. Mętny odblask księżyca, filtrując się przez lotne płatki szarpanego wiatrem śniegu, rozlewa wokół niesamowitą poświatę.

Ciepłe buty pogrążają się w białych wydmach, które kładą się wpoprzek drogi, jak zastygłe morze bieli.

Już niedaleko do stanowiska. A to co? Ślad! Świeżutkie, pod linję wyciągnięte odciski stóp. Musiał sunąć ten zwierz przed chwilą, bo inaczej wiatr zdążyłby zaprószyć trop. — Czy to oko myli?! Hen, pod splątaniną chaszczów przemknął się jakiś zwierz, wywijając kitą... Zniknął. Czy aby wróci? — dręczy trwożne pytanie. Było przyjść wcześniej — kołacze zdrowy rozsądek.

Okryty ciepłą bielą, która zlewa się całkowicie z otoczeniem, wyczekuje nieruchomo myśliwy, podobny do oprószonego śniegiem kamienia. Pod pachą drzemie strzelba. Tu i owdzie na śniegu drgają w zimnym podmuchu źdźbła trawy, które wychynęły na wierzch, przypominając żywo cenne, srebrne włoski na zimowem futrze mykity.

Myśliwy sięga do kieszeni i zbliża do ust mały gwizdek. Modulując uciskiem ręki wydobywający się zeń głos, wydaje kilka zciszonych pisków, naśladujących do złudzenia myszy.

Następuje długie, pełne emocji oczekiwanie. Nic... A możeby tak drugi raz spróbować?... Może jednak da się wyprowadzić w pole chytry lisiura? Wiatr jest dobry... Piski... tym razem głośniej, jakoś śmielej harcują myszki.



Autor w bieli po polowaniu na lisy z wabikiem.

Cała uwaga myśliwego skupiona na przywalonym okiścią gąszczu. Aż oczy bolą od wypatrywania na przedpolu upragnionej, rdzawej plamy.

Jakiś cień w powietrzu...

Coraz bliżej, bliżej, płyną bezszelestne skrzydła. Otwierają się szpony — to zwabiona piskiem myszy sowa usiłuje siąść na strzelbie, którą wzięła za gałąź. Ucieka przerażona, gdy domniemany pień nagle się poruszył.

Myśliwy czeka, choć trzęsie nim ziąb, idący od sinej tarczy księżyca, rozmigotanego prószą gwiazd i lśniącej poza gęstwiną lodowej pustki.

Nagle w oddali ruszyło się coś na śniegu... Zgrabiałe ręce obejmują szybko strzelbę. Zdaleka zbliża się coś... wprost na stanowisko! Gardło ściska emocja, w skroniach wali mocno tętno. Coraz bliżej... bliżej... Już widać wielkie lisisko, sterujące pyszną kitą. Wtem pole zalewa półmrok. To ciemne palce chmur przesłoniły nagle księżyc. Płynnym ruchem sunie poprzez szarą roztoczę mykita.

Skręcił w lewo, przyśpiesza... zwietrzył zasadzkę. — Teraz!

Błysk — i w białą dal pada huk strzału.

Po nim zalega taka cisza, jakby wcale nie był rozegrał się ten nocny dramat.

Ostrożnie, z palcem na spuście, wychodzi z ukrycia myśliwy. Pyszni się wokół biel, za którą majaczą sploty gąszczu, obwisłe śnieżną pianą. Za grubą zaspą przyczaił się stygnący już, rudy kłąb futra. Ostry szpic nosa rumieni ciepłym szkarłatem śnieg. Zwolna pochyla się drżąca ręka myśliwego. Gładzi sutą, puszystą kitę, na której koniuszek księżyc rzucił srebrny okruch światła.

J. WYSOCKI.

HRYĆKO I IWAN.

Często jeżdżę na polowania do mego wuja na Wołyń. Gospodarz łowiska nie jest myśliwym, ale majątek jego obfituje we wszelkiego rodzaju zwierzynę. Kaczki na błotach i łąkach, gdzie też i kszyki oraz dubelty strzelało się w dużych ilościach, cietrzewie na toku, lisy i zające w lasach i trzcinach nad stawami, czasem kozioł lub dzik dostawał się na rozkład.

W myśliwskich mych wycieczkach brali udział zawsze Hryćko i Iwan. Hryćko, starszy już chłop wołyński, był filozofem; młodszy Iwan — pijakiem, który zarobiony grosz przepijał w karczmie. Stale byli z sobą w zwadzie. Ciągle mieli o coś do siebie pretensje, które nieraz kończyły się poważnemi bójkami. Obaj niezrównani byli na polowaniu. Hryćko był specjalistą od zimowych, Iwan od wiosennych i letnich polowań. A chytrzy byli!...



Hryćko i Iwan. Fot. M. Mniszek-Tchorznicki.

Pamiętam, przyjechałem raz na słonki. Stoję w olszynce i, czekając na długodziobe, słucham opowiadań Iwana. Miał on wielkie poważanie w wiejskiej gromadzie. Otóż przyjechali kiedyś z Równego jacyś urzędnicy i zwrócili się do Iwana z prośbą, czyby im nie wyrobił we wsi pozwolenia na polowanie. Obiecywali, że zapłacą po złotówce za każdą ubitą sztukę. Iwan podumał chwilę i odpowiedział, że załatwi ich prośbę, lecz woli, by zapłacili po 30 groszy za każdy strzał. Oczywiście myśliwi zgodzili się na to i Iwan zarobił blisko 6 złotych. Gdyby się jednak był zgodził na ich propozycję, zarobiłby tylko dwa złote.

Mnie zawsze wyrabiał pozwolenie na polowanie na wiejskich terenach.

Z Iwanem najczęściej polowałem na słonki. Gdy strzeliłem i zdawało mi się, żem trafił, a Iwan stał przy mnie spokojnie dalej, mogłem być pewien, że słonka była spudłowana. Raz tylko było inaczej. Było już prawie ciemno, gdy strzeliłem i zauważyłem, że słonka, przeleciawszy ze trzydzieści kroków, spadła. Iwan jednak nie ruszył się. Byłem wtedy tak pewny trafienia, że sam udałem się na poszukiwania, choć Iwan twierdził, że słonka poszła zdrowa. Klął strasznie i bardzo był speszony, gdym słonkę tę przyniósł. „Ot czort, nie ptaszka" mówił.

Często też chodziliśmy na cietrzewie. Wiedziałem, że, gdy Iwan postawi budkę i stwierdzi, iż danej nocy cietrzewie tokować będą, napewno ubiję dwa, albo trzy koguty.

Całemi dniami włóczyłem się z nim nieraz za kaczkami po łąkach, nieraz wieczorem siadywałem na przelotach. Bardzo rzadko gubiłem przy nim zwierzynę. Albo zaraz wieczorem znajdywał ją, albo na drugi dzień rano szedł szukać i zwykle podczas mego śniadania odnosił. To, co na drugi dzień znalazł, było zawsze jego własnością, niemniej uważał za konieczne pochwalić się, że „taki ja naszoł". Nieraz posyłałem go po sprawunki do miasta, zawsze jednak wyrachowywał się co do grosza, a na końcu meldował, że jeden kieliszek wypił za zdrowie „panoczka".

Hryćko to specjalista od zimowych polowań. Mój Boże, ileż zabiłem przy nim lisów, ileż dzików na mnie wypędził! Niestety, z dzikami nie miałem szczęścia. Raz, pamiętam, przyjechałem na święta Bożego Narodzenia. Nim zdążyłem wykąpać się po całonocnej podróży i zjeść śniadanie, już Hryćko wiedział, że przyjechałem i już zdawał raport.

Jeszcze tego samego dnia pojechałem z nim na dziki do lasu. Postawił mnie na leśnej polanie. Rósł na niej tylko jeden wielki, rozłożysty dąb. Kazał mi pod nim stanąć. Nie wierzyłem ani przez chwilę, by tędy, na czyste, mogły wyjść dziki, ale Hryćko tak mówił, trzeba było słuchać, bo Hryćko nigdy się nie mylił.

Długo czekałem samotnie, dryling spokojnie spoczywał w ręku. Ciężka okiść przysypała las cały srebrno - białym całunem, drzewa liściaste sterczały nagiemi konarami, czasem szeleściły zaschnięte liście. Idealna cisza przerywana była tylko wrzaskiem przestraszonej sójki, lub ledwo dosłyszalnym świegotem sikorki. Wtem krzyk Hryćka — znak, że dziki ruszył. Jeszcze chwila i z lasu wypadła stara locha, a za nią pięć sporych warchlaków. Strzał kulą, przesunięcie, znowu strzał... Jeden warchlak zostaje w ogniu, reszta zniknęła w gąszczu po drugiej stronie polany. Nie zdążyłem nabić drylinga, gdy wtem w olbrzymich susach wypada jeszcze jedna większa sztuka. Wspaniały widok, cóż kiedy tylko na pięknym obrazie musiało się skończyć!

Po chwili tropem tej większej sztuki wyszedł Hryćko. „A gdzie dzik" — zapytał. „Poszedł — odpowiedziałem — ale zabiłem warchlaka". Hryćko popatrzył na trop, obejrzał warchlaka, splunął i zaklął siarczyście. Nie pomogły tłomaczenia, że dzik wyszedł dopiero po strzałach do warchlaków, że w tej właśnie chwili nie miałem kuli w lufie; przez dwa dni nie chciał ze mną chodzić do lasu, a i potem zawsze mnie przestrzegał, żeby „jak jest w lesie gruba sztuka, to proszę nie strzelać do tego małego świństwa," jak nazywał warchlaki.

Zeszłej zimy przyjechałem do mego wuja bardzo późno, bo dopiero w końcu stycznia. Hryćko wiedział już przedtem, kiedy przyjadę, był na stacji i zaraz mnie przywitał:

— A w tym roku my mamy dla panoczka ekstra zwiera.

Zaraz na drugi dzień byliśmy w lesie. Z tajemniczą miną pokazał mi Hryćko jakieś ślady... I o radości — były to ślady wilka.

Któż z myśliwych nie uczuje dziwnej emocji na wiadomość, że w ostępie jest wilk. Tembardziej ja, bo nigdy do tej pory nie zabiłem tego „kochanego rabusia". Chytrość i mądrość wilka czynią z niego tak bardzo pożądaną zwierzynę, a skóra wilcza — to trofeum pierwszorzędne i tylko wybrańcy łask świętego Huberta mogą się niem poszczycić. Dla większości myśliwych wilk to zwierzyna nieznana, choć upragniona, a spotkanie z nim zaliczyć można do rzadkich i trzeba wyjątkowego szczęścia, by przyjezdny myśliwy mógł zabić lupusa. Oczywiście nie mówię tu o polowaniach ze sznurami, bo przy

dobrej organizacji prawie zawsze musi się udać i wtedy kwestją szczęścia danego myśliwego jest, czy wyjdzie na niego, czy też na szczęśliwszego sąsiada. Byłem w mem życiu na dwóch polowaniach na wilki, niestety, nigdy nie wyszedł żaden na mnie, ani go nawet nie widziałem za życia. Tu wreszcie na Wołyniu mogłem się z nim spotkać bez obawy, że wyjdzie na kogo innego. Miałem sporo czasu, toteż byłem prawie pewny spotkania. Tembardziej, że owe spotkanie obiecał mi Hryćko.

Trzy dni łaziliśmy po lesie, robiliśmy maleńkie pędzenia — wszystko na nic. Czwartego wreszcie dnia mówi do mnie Hryćko, że wilk leży w małej świerczynie i że trzeba do niego podejść. Odpowiedziałem, że przecież to niemożliwe podejść tak wilka. Nic nie pomogło. Wreszcie zaufałem znawstwu Hryćka i poszedłem. Ledwo weszliśmy w zagajnik, widzę: coś burego się porusza, chciałem się jednak upewnić, czy to wilk, by strzałem do innej zwierzyny nie przestraszyć wilka. Niestety, był to wilk, ale nim rozpoznałem, że to on, nim zdecydowałem się na strzał w szalenie gęstym świerkowym zagajniku— wilka już nie było. Cieszyłem się jednak tem, że wreszcie po długich oczekiwaniach zobaczyłem go w lesie.

Znowu minęło trzy dni, a wilk ciągle jeszcze włóczył się po lesie. Nie mogłem się tylko z nim spotkać. Postanowiliśmy z Hryćkiem urządzić zasadzkę. W tym celu na polanie położyliśmy padło końskie i około godziny piątej po południu siedzieliśmy obaj dobrze ukryci, czekając na wilka. I znowu dwie noce na nic. Wilk do padła nie przyszedł. Dziś żałuję, że nie strzelałem do tych wszystkich lisów, które w ciągu dwóch nocy miałem na strzał. Dopiero trzeciej nocy zabiłem niewielkiego dziczka, który, zamiast upragnionego wilka, dobierał się do koniny.

Wilka mimo różnych forteli nie dostałem.

Hryćko zawsze wyrażał się o swoim bracie z pogardą. Dla niego ptactwo to nie zwierzyna, na którą warto byłoby psuć ładunki. Dla niego brat, który przepijał wszystek zarobiony grosz, był łajdakiem, z którym on raz skończyć musi. Gdy raz chciałem wziąć Iwana na polowanie zimowe do pomocy Hryćkowi, ten ostatni odpowiedział, że nie pójdzie, o ile Iwan ma iść.

Kochani moi przewodnicy, niejedną wam ciekawą wiadomość z życia zwierzyny zawdzięczam, niejedno doświadczenie dzięki wam zdobyłem. Niech to drukowane wspomnienie powie o was wsystkim myśliwym, niech serca myśliwskie będą dla was i wam podobnym przepełnione dziwną, tkliwą nutą sentymentu.

Hryciu! jeszcze nieraz pójdę z tobą na dziki, a może wreszcie będziesz się ze mną razem cieszył, gdy twój panoczek ubije wilka. A ty, Iwan, napewno jeszcze nieraz będziesz stał ze mną na ciągu i słuchał chrapania, co czarowną melodją cieszy ucho myśliwego, nieraz będziesz szukał kaczek, brodząc po pas w błocie. A potem, kiedyś kiedyś — spotkamy się w innych rewirach, wy starzy i ja, dziś jeszcze młody, będziemy wiernymi towarzyszami naszego świętego patrona i będziemy cieszyć się, gdy opowiemy sobie nasze przygody z rewirów ziemskich.



W drodze do miotu. Fot. kpt. Szczepański.

Wasza fotografja w piśmie łowieckiem powie o was wszystkim, a jak wam prześlę „Łowca Polskiego", a w nim waszą fotografję, będziecie dumni, że wasze twarze uwiecznione zostały w organie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

W łączności z nowym rokiem wydawniczym naszego pisma, zwracamy się z gorącym apelem do naszych dotychczasowych Szanownych Prenumeratorów

o jednanie dla „Łowca Polskiego" nowych, stałych jego czytelników.

Niech każdy w ten sposób wbuduje choć jedną cegiełkę, przyczyniając się do dalszego wzmocnienia gmachu polskiego piśmiennictwa łowieckiego, oddanego na usługi wszystkich zainteresowań naszych myśliwych i pracującego dla rozwoju rodzimego łowiectwa.

Niezależnie od tego prosimy usilnie o możliwie śpieszne, punktualne odnawianie prenumeraty na najbliższy okres czasu: rok, półrocze, kwartał, lub miesiąc następny.

Administracja.



Z Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Wyjazd na polowanie. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

O WRONIE I WALCE Z NIĄ W ŁOWISKU.

(Dokończenie).

Dzięki upodobaniu wron do plądrowania gniazd ptasich, istnieje jeszcze jeden sposób trucia tych szkodnic. Bierze się w tym celu jajka z opuszczonych lęgów kuropatwy, kaczki, kurki wodnej, derkacza, czy jakichś innych ptaków i ostrym scyzorykiem wycina się w łupinie otwór, przez który, przy pomocy źdźbła słomy (uciętego kawałka bez kolanek) wydmuchuje się zawartość jajka na małą patelenkę. Następnie podegrzewa się tę jajecznicę na wolnym ogniu do chwili zgęstnienia białka. Mówię tu naturalnie o jajkach niezalęgniętych. Zawartość jaj zasiedzianych wydmuchuje się precz. Zrzuciwszy jajecznicę do jakiegoś starego, lub uszkodzonego garnczka — dodaje się do niej opisanej już uprzednio masy fosforowej i całość należy dobrze wymieszać. Bierze się potem opróżnione łupiny jaj, nadziewa się tą mieszaniną, a otwór zalepia się kawałkiem wyciętej przedtem z tego jajka skorupki. O ile posiadamy puste łupiny jaj, przechowane z ubiegłego lata — jajecznicę sporządzamy z kurzych czy kaczych jajek, a nawet z wronich, wybranych z gniazd dla tych celów. W razie braku skorupek jaj dzikich ptaków — można je zastąpić jajkami kur bantamów (karliczek), lub gołębi domowych. Dla nadania im jednak barwy, zbliżonej do jaj np. bażanta, czy kuropatwy — dobrze jest przed wydmuchaniem zanurzyć je na chwilę w wywarze siana, dzięki czemu ufarbują się one na kolor żółty, czy brudno-zielony. Wywar ten powinien być tylko ciepły — nigdy gorący, bo wówczas jaja się ugotują i nie dadzą się opróżnić.

Pierwszy etap naszej pracy jest ukończony. Zabieramy teraz zatrute jaja i udajemy się do kniei, by tam przygotować sztuczne gniazda i włożyć w nie nasze trutki. Na kępach wśród błot, w niskim łanie koniczyny, na polankach, czy we wrzosowiskach pod lasem wygrzebujemy ręką płytki dołek, który następnie wyściełamy nieco sianem, lub zeschłą trawą, tamże się znajdującą. Ściółkę taką trzeba dłonią dobrze wyklepać, by szczelnie przylegała do ścianek wgłębienia i robiła wrażenie gniazda, usłanego przez ptaka; inaczej wrony domyślą się i trutek nie poruszą. Do takiego gniazda wkładamy 2, albo 3 jajka i cała robota jest już skończona, pozostaje nam tylko zaznaczenie i zapisanie dla pamięci — gdzie się gniazda znajdują — byśmy w swoim czasie mogli zebrać i zniszczyć pozostałe dotąd jaja.

Pragnę jeszcze dodać, że do jednego gniazda należy, rzecz prosta, kłaść jednakowe jaja, nie mieszając broń Boże gatunków i wybierać dla danego gatunku charakterystyczną okolicę. Tak np. używając łupin jaj cietrzewia — musimy urządzać sztuczne gniazda w lesie, lub koło niego we wrzosach — a nie na wilgotnej łące, czy w polu. Jaja kuropatwy umieszczamy wśród zboża, koniczyny, lub niskich zarośli, przytykających do pól. Łupiny derkacza — na łące, kokoszki wodnej — na kępie wśród stawu, czy moczaru i t. d. Miejsce na sztuczne gniazdo najlepiej jest wybierać koło stojącego samotnie wśród pól drzewa, na którem wrony lubią siadywać i skąd prędko je dostrzegą, przy dużych głazach polnych, w pobliżu żerdzi, pozostałej po stogu siana i t. p. wronich punktach obserwacyjnych.

Zresztą, jak wszędzie, tak i tutaj potrzebna jest pewna choćby minimalna znajomość obyczajów wrony, bez czego trudno jest odpowiednio położyć trutki, a co za tem idzie osiągnąć dobre rezultaty w niszczeniu tych szkodnic. Nie należy się jednak początkowem niepowodzeniem zrażać, ufając, że i na tem polu zdobędzie-

my wreszcie konieczne doświadczenie. Bo choćby najdokładniej podana teorja jest jednak zawsze gorszą od praktyki i jedynie na niej trudno się opierać, zwłaszcza, gdy chodzi o trucie tak bardzo przebiegłego ptaka, jakim jest wrona.

Łapią się także wrony w żelaza, ustawione na słupach, wkopanych wśród łanów zboża, albo na jakimś pniu, górującym nad porębą, lub niskim zagajem. Opisywać budowy żelaz nie będę, gdyż kupuje się je zazwyczaj gotowe i wątpię, czyby ktoś z łaskawych czytelników sam je sporządzał. Zaznaczam tylko, że najodpowiedniejsze są wszelkie żelaza tarczowe i obręczowe. Siadająca na słupie wrona chwyta się w potrzask i ginie zduszona obręczami. Należy tylko pomalować pułapki na kolor stonowany z otoczeniem, a więc szary albo zielony, w zależności od tego, gdzie je mamy zamiar ustawić: na palu drewnianym, czy na wysokim kopcu darniowym.

Kiedy wronięta wyrosną i nauczą się dobrze latać, co ma zwykle miejsce po pięciu tygodniach od chwili wyjścia z jaj, cała rodzina wyrusza w pole, czy na łąki. Rodzice w dalszym ciągu karmią młode, chociaż te dorównują już wzrostem starym, a różnią się tylko brakiem metalicznego połysku czarnych piór ogona, skrzydeł, oraz głowy. Pióra te są u nich matowe. Gdy ojciec albo matka zbliży się z pokarmem w dziobie do takiej młodej wrony, ta przysiada, trzepie skrzydłami i głośno kracze, bez względu na to, czy znajduje się na gałęzi drzewa, czy też na ziemi. Po otrzymaniu kąska podąża za starą i stale jej towarzyszy w ciągu całego dnia. Na noc gromadki wron lecą do lasów, parków, czy kęp wysokich, nadwodnych olch, albo brzóz, gdzie o zmierzchu, po długiem krążeniu w powietrzu, z głośnem krakaniem obsiadają wierzchołki drzew i tu noc spędzają. Przedtem jednak, nim zasną — często „poprawiają się", zmieniają miejsce, przelatując z gałęzi na gałąź, lub z drzewa na drzewo. W lipcu rozpoczyna się lenienie wron, po którem już zarówno stare, jak i młode są opierzone jednakowo.

W upalne letnie dni lubią wrony kąpać się w kałużach czy strumykach. Odważnie wchodzą do wody i, uderzając o nią skrzydłami, urządzają sobie doskonały prysznic. Podczas tych czynności wykręcają śmiesznie głowę i przymykają oczy. Używają też nieraz kąpieli i w innych porach roku, niekiedy nawet w listopadzie i grudniu, najczęściej jednak ma to miejsce w okresie letnim, kiedy to biorą nawet i słoneczne kąpiele. Zdarza się bowiem wówczas widzieć wronę, leżącą na nagrzanym promieniami słońca piasku i drzemiącą spokojnie. Wrona taka robi zupełnie wrażenie martwej i daje się podejść na kilka kroków.

Przypominam sobie komiczny wypadek, gdy w upalne południe lipcowe, wracając z polowania na kaczki, dostrzegłem siedzącą na wierzchołku drzewa wronę. Odległość wynosiła około 65 metrów, co na słaby ładunek letni jest stanowczo za daleko. Strzeliłem jednak i naturalnie wrona lekceważąco odleciała za wzgórze. Jakież było potem moje zdziwienie, gdy, minąwszy owe wzniesienie, zauważyłem na piachu dróżki polnej leżącą wronę. Gotów byłem w tej chwili napisać artykuł o doskonałości polskich nabojów śrutowych. Zbliżyłem się do niej szybko i pochylony miałem ująć ją za skrzydło, gdy naraz leżąca z zamkniętemi oczyma wrona przejrzała i, wrzasnąwszy okropnie — wzbiła się w powietrze, umykając co sił w pole. Zbadałem dokładnie wygrzebany przez ptaka dołek, lecz nie było tam ani śladu krwi, wszystko natomiast wskazywało na to, że mimowoli przeszkodziłem zupełnie innej wronie w delektowaniu się rozkoszami plaży. Przygodą tą tak byłem zaskoczony, że, mając na ramieniu nabitą strzelbę — zapomniałem poprostu o niej i wrona oddaliła się bez strzału. Poza opisanym wypadkiem dwukrotnie jeszcze zetknąłem się potem z drzemiącą na słońcu wroną, a zawsze podchodziłem niezauważony na odległość paru zaledwie kroków.

W okresie żniw przenoszą się wrony w okolice pól, na których żerują. W tym okresie rodziny rozbijają się i każdy osobnik odtąd troszczy się tylko o siebie, aczkolwiek przebywają często w stadach.

Lecz niebawem pola zupełnie opustoszeją, złote ścierniska nużyć będą oko swą monotonną jednostajnością, rozproszoną miejscami tylko karbowanem pasmem ziemniaków, czy łanem zielonego łubinu. Blade słońce uśmiechnie się jeszcze czasami pogodnie do siwych kłębów mgły, ścielącej się nad poszarzałym ugorem, lub wstęgą wilgotnych łąk. Rozpocznie się jesienna orka.

Gromady wron towarzyszą wiernie oraczom, chodząc brózdą za pługiem i skrzętnie zbierając odsłonięte lemieszem pędraki chrabąszczy, drutowce, turkociepodjadki, nawet nornice i myszy polne. Oddają przez to rolnikowi ogromne usługi i dlatego są chętnie przezeń wówczas na roli widziane. Nawet myśliwy spoziera na nie w tym czasie pobłażliwie, gdyż czas lęgów zwierzyny jest już ukończony i poważniejszych szkód wrony wyrządzić nie są w stanie, zresztą wkrótce odlecą dalej na południe i kto wie, czy wszystkie powrócą znowu do łowiska? Jednak, gdy rozpocznie się siew jesienny, rolnik mniej przychylnie spogląda na szare towarzyszki, gdyż zaczynają one wybierać odsłonięte ziarna, a że żerują przeważnie gromadnie — mogą więc znowu stać się dokuczliwemi szkodnicami.



Wśród puszczy. Fot. S. Rasiński.

Bardzo ciekawą jest nienawiść wron do wszelkich ptaków drapieżnych i to zarówno dziennych, jak i nocnych. Puhacz, jastrząb-gołębiarz, kania, myszołów i wiele innych nie mogą pozbyć się natarczywego towarzyszenia im wron, które, gdy tylko dojrzą jakiegoś drapieżnika — zaraz zwabiają się krakaniem i całą gromadą ścigają go, często nawet dziobiąc, lub szarpiąc za ogon. Jeżeli ptak ten unosi się w powietrzu, zwartą kupą podążają za nim kraczące donośnie wrony. Gdy usiądzie na drzewie — rozkrzyczana banda rozlokowuje się na sąsiednich gałęziach, czy wierzchołkach i czeka cierpliwie dalszej jego wędrówki. Ta stała asysta wron i ich hałaśliwe zachowanie się ostrzega mieszkańców kniei przed napadem rabusia, który teraz nie może nic upolować, zwłaszcza, że do wrzaskliwej tej czeredy dołączają się niebawem i sroki, potęgując hałas ustawicznem skrzeczeniem. Wrony są bardziej odważne, zbliżają się do drapieżnika, grożąc mu dziobami, skubią za zwieszony ogon, albo za zwieszone skrzydła, a śmielsze ryzykują od czasu do czasu

silne dziobnięcie. Natomiast sroki siedzą zawsze zdala na wierzchołkach drzew i jedynie skrzeczą.

Osaczony rozbójnik leśny zwraca na wszystkie strony zakrzywiony dziób, rzuca dookoła wściekłe spojrzenia i wpija się gniewnie szponami w gałąź, ale widząc, że nie podoła całej masie prześladowczyń — porywa się do lotu i umyka pośpiesznie, byle tylko uciec od tego arcy-niemiłego towarzystwa. A tryumfujące wrony lecą za nim.

Niezawsze jednak drapieżca znosi cierpliwie takie prześladowanie. Widziałem raz, jak banda wron zaatakowała mknącego nad polem sokoła wędrownego. Początkowo ptak leciał dalej, nie zwracając pozornie uwagi na towarzyszącą mu wrzaskliwą zgraję, lecz nagle zrobił piękny obrót i rzucił się na wrony, które w strasznej panice rozleciały się w powietrzu. Sokół napadł na najbliższą i jednem uderzeniem dzioba strącił ją na ziemię, poczem ruszył w poprzednim kierunku. Znalazłem wronę jeszcze żywą i podziwiałem siłę ciosu, jaki otrzymała. Przez wydarty w grzbiecie otwór wyzierały strzępy wyszarpniętych płuc. W chwilę później zdechła.



Wyciąganie zabitego odyńca z kniei. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

Przy polowaniu z puhaczem wrony zjawiają się pierwsze i to nawet bardzo licznie. Chcąc ubić znaczniejszą ich ilość, trzeba umieszczać naszą sowę w pobliżu młodego drzewka, czy wysokiego krzaka, rosnącego samotnie na polu, lub śródleśnej polanie. Wrony bowiem lubią usiąść na niem i czas jakiś przyglądać się puhaczowi, zanim wreszcie zdecydują się go zaatakować. Nie należy strzelać do pierwszej wrony, która się przy puhaczu pojawiła, gdyż ma ona dla nas wartość wabika, ponieważ donośnem krakaniem sprowadzi zawsze z najbliższej okolicy więcej towarzyszek, śpieszących chętnie na jej zew. Dopiero gdy mamy przed sobą już kilka tych szkodnic — robimy łatwego dubleta, a nieraz, wykorzystując moment, gdy wrony zbliżą się do siebie, można dwoma strzałami położyć 3, albo i 4 sztuki. Rzecz prosta, że po takiej salwie spłoszone szare rozbójniczki więcej się nie pokażą, należy więc zmienić miejsce, albo czekać cierpliwie, aż jakaś wędrująca z dalszych okolic wrona dojrzy puhacza i zboczy z wytkniętego kierunku w stronę naszych luf. Bywa to jednak dość rzadko, toteż rezygnuje się wtedy zazwyczaj z wron, a strzela do innych lotnych drapieżników, które, nie przeczuwając podstępu, do naszej sowy podlecą.

Na ziemiach polskich wrony rozmnażają się coraz bardziej, gdyż poza myśliwym - hodowcą innych wrogów posiadają niewiele. Znamienną bowiem jest rzeczą, że wszystkie drapieżniki skrzydlate bardzo niechętnie polują na wrony, a jeżeli nawet którąś uśmiercą — to pozostawiają przeważnie nietkniętą, brzydząc się jej mięsem. Jedynie wygłodzony gołębiarz, czy sokół wędrowny decyduje się w ostateczności na spożycie starej wrony. Częściej natomiast wybierają młode z gniazd. Obserwowałem niejednokrotnie łowy gołębiarza w kniei. Atakował prawie zawsze ptaki łowne, poza niemi sójki, dzięcioły i sroki; nie widziałem natomiast nigdy, by napadał na wrony. Widocznie każdy z nich pamięta doskonale o prześladowaniu, doznanem ze strony tych szarych szkodnic i dlatego je respektuje. Najgroźniejszymi stosunkowo ich przeciwnikami są: puhacz, sokół wędrowny, jastrząb-gołębiarz, orlik krzykliwy, oraz orzełek-bielik.

Z czworonożnych drapieżników najwięcej dokucza wronom kuna leśna, plądrująca im gniazda, oraz lis, któremu udaje się czasami złapać wronę, zajętą na ziemi żerowaniem. Inne ssaki prawie zupełnie im nie zagrażają. Toteż, jak zaznaczałem, wronom u nas powodzi się wcale dobrze. Obfitość łowisk, w których nie prowadzi się żadnej gospodarki łowieckiej, rozsianych po całym obszarze kraju, daje możność spokojnego bytowania i rozmnażania się. Stąd wrony rozprzestrzeniają się po okolicznych terenach i zasięg swój ustawicznie rozszerzają. Ta wronia inwazja, aczkolwiek trudna dla niemyśliwego do zaobserwowania — może dla hodowcy stać się poważnem niebezpieczeństwem. Szkody, wyrządzone wiosną w lęgach ptasich przez pojedyńczą nawet wronę, są dość znaczne, zaś tam, gdzie ilość tych szarych szkodnic wynosi dziesiątki, czy może setki sztuk — potrafią przybrać rozmiary klęski, przenoszącej się nawet na zwierzostan zajęczy, a niekiedy i sarni. Bo rozzuchwalone wrony, łącząc się w gromady — atakują także i koźlęta.

W jednym ze znanych mi łowisk powiatu wileńskiego cietrzewie, których stan na dworskich porębach był doskonały — zaczęły nagle gwałtownie niknąć. Stwierdzono przytem, że więcej niż połowa gniazd cietrzewich bywa w tajemniczy sposób splądrowana, a poręby gęsto popstrzone są łupinami jaj tych ptaków. Podejrzewano o to pastuchów, włóczące się koty, tchórze i t. p., wreszcie ustawiono na kupach gałęzi, specjalnie ułożonych w pobliżu pozostałych gniazd cietrzewich, żelaza obręczowe. I oto zagadka odrazu się wyjaśniła, gdyż już drugiego dnia schwytano w nie kilka wron. Po wypowiedzeniu nieubłaganej wojny tym szkodnicom, w ciągu jednego tylko roku ilość cietrzewi wzrosła prawie trzykrotnie i znów można było na nie normalnie polować.

*

Dziś, gdy racjonalna gospodarka łowiecka zatacza coraz szersze kręgi, gdy każdy zając, dubelt, czy bażant stanowi dla myśliwego - hodowcy nietylko miły objekt polowania, ale i gotówkowo cenną zwierzynę — nie możemy pozwolić, by zbędne gromady wron niszczyły w łowiskach nasze dobro, nasze mienie, przysporzone z dużym wysiłkiem hodowlanym i wkładem tak drogiego obecnie pieniądza. Nie propaguję w swoim szkicu bezwzględnego tępienia wron, gdyż pewna, bardzo ograniczona ich liczba, przydać nawet się może w łowisku, to jednak ostrzegam hodowców przed nadmiarem tego ptactwa, którego lepiej nie tolerować na swych terenach myśliwskich. Widok splądrowanych gniazd pardwich, dubelcich, czy kaczych, syzyfowe wysiłki właścicieli łowisk, dążących do podniesienia zwierzostanów i zmagających się z ustawiczną wronią inwazją — włożyły mi pióro do ręki, by skreślić garść tych obserwacyj z życia tak bardzo dokuczliwego, a niezawsze należycie ocenianego szkodnika naszych kniej.

Obowiązek pisarza łowieckiego każe mi przy końcu wspomnieć jeszcze o tem, że w walce z wroną — ładunek śrutu zawsze pewniejszym się okaże, aniżeli nawet najskuteczniejsza trutka. Bo wrona — to mądry i przebiegły ptak, dla którego nigdy nie dość sprytu i ostrożności.

Polska ustawa łowiecka pozwala na niszczenie wron wszelkiemi sposobami, w ciągu całego roku.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

O POLOWANIU NA WILKI.

Będąc od lat najmłodszych wielkim miłośnikiem polowania na wilki z fladrami, z przyjemnością przeczytałem w „Myślistwie Wschodniem" ciekawy artykuł Wacława Podhorskiego „Polowanie na wilki" i pragnę doń dorzucić garść własnych uwag i spostrzeżeń.

Otóż bezwzględnie zgadzam się z twierdzeniem autora, że polowanie to, wprowadzone do Polski po wojnie przez kilku nas myśliwych, którzy z tym systemem zetknęli się bądź to na kresach, pozostałych za naszą wschodnią ścianą, bądź też w Rosji, jest najwyższym kunsztem sztuki łowieckiej, stanowi prawdziwą atrakcję naszych polowań kresowych i powinno być pod każdym względem utrzymane i rzeczowo traktowane. Teorji samego polowania opisywać nie będę, gdyż jest ona dostatecznie już dzisiaj znana. Dodam tylko, że tropienie i sznurowanie wilków jest to proceder nadzwyczaj trudny, wymagający wielkiej przenikliwości i znajomości zwyczajów zwierza, bystrej orjentacji w kniei, cierpliwości i... zdrowia. Nie każdemu myśliwemu są te zdolności dane, gdyż, jak słusznie powiedział wielki przedwojenny myśliwy rosyjski, ks. Andrzej Szyriński-Szychmatow, zdolności myśliwskie są takim samym darem bożym, jak każdy inny talent, którego za pieniędze nie kupisz i który nie każdemu jest w jednakowej mierze dany.

To, co umiemy, przejęliśmy od rosyjskich pskowiczów, zwanych tam również „łukaszami" od przodka ich Łukasza, pochodzącego ze wsi „Ostrowa" pskowskiej guberni. Wbrew mniemaniu, stanowczo twierdzę, że ilość dobrych pskowiczów w Rosji jest niezbyt duża i „zastępów" ich bynajmniej nie było. Dobrze płatni, poszukiwani przez różne towarzystwa łowieckie i pojedyńczych myśliwych, starali się oni pokryć swoje talenty w sznurowaniu wilków mgłą tajemniczości i niechętnie zadawali się z innymi leśnikami, a nawet z myśliwymi, stanowiąc osobną, jakby zamkniętą w sobie kastę. Tacy byli pskowicze Lubańskiego Towarzystwa pod Petersburgiem, takim był sławny Zajcew, którego sprowadził przed wojną Władysław Zamoyski do swego Racewa w Mohylowszczyźnie, a który urządzał tam sławne wilcze polowania, a przeszedłszy do Berezyny, stał się nauczycielem największego dzisiaj wilczarza w Polsce, mego kuzyna Maurycego Potockiego. Tą drogą przywędrował ten rodzaj polowania do Polski i teraz dalej przez szereg wybitnych myśliwych naszych jest prowadzony, a nawet udoskonalony. Żadnych specjalnych sekretów tu niema, — są tylko potrzebne wspomniane wyżej przymioty, a resztę robi wprawa i zamiłowanie.

Nie zgadzam się tylko z p. Podhorskim w jednem, że zamknięcie wilków w sznury i polowanie na nie nazajutrz, nie wydaje się zgodne z etyką łowiecką i nie powinno być praktykowane. W mojem przekonaniu, właśnie to jest ideał i szczyt tego rodzaju polowania, największa rozkosz myśliwska dla myśliwego, który dany ostęp ofladrował, a argument, że mało wówczas pozostaje dla myśliwych, którzy, że tak powiem, na gotowe przyjeżdżają łowy, jest o tyle nieścisły, że prawdziwi myśliwi z opowieści tropiciela wszelkie perypetje samego tropienia i fladrowania przeżywają. Niema nic gorszego dla tropiącego wilki, jak myśleć, że gdzieś w gajówce, a nawet we dworze, wyczekują niecierpliwie koledzy-myśliwi na rezultat osoki. Każdy pośpiech zmniejsza szanse, gubi rachunek, lub fladrowanie robi niedokładnem. Wystarczy drobna omyłka, żeby wielkie wysiłki, a czasem kilkotygodniowe zabiegi, zniweczyć. Odwrotnie, gdy mam cały dzień do dyspozycji, szanse dokładnego zrobienia ostępu ogromnie się zwiększają, a stosowane przez Maurycego Potockiego podwójne ofladrowanie rękojmię pewnego rezultatu jeszcze bardziej wzmaga, ale potrzebuje tem więcej czasu dla prawidłowego wykonania. Klasyczny ostęp powinien być niewielki; raz leżące wilki mocniej wytrzymują, niż normalnie się przypuszcza, ale to wszystko wymaga wiele godzin jazdy, tropienia i zabiegów.

Cóż może być piękniejszego, jak dojazd nazajutrz do gotowego, osznurowanego ostępu. Emocje myśliwych granic nie mają. Długa często jazda jest jednem pasmem cudnych wrażeń. Wreszcie sanki sznurkiem dojeżdżają do miejsca w kniei, gdzie na tle śnieżnej bieli czerwienieją chorągiewki, cicho łopocące na wietrze. Uradowana twarz myśliwego-osocznika zwiastuje, że wilki nie wyszły — krótka narada i myśliwi, jak cienie, rozchodzą się na wyznaczone stanowiska. Stawanie wewnątrz fladr na cięciwie koła, czy otworzenie fladr na pewnej przestrzeni i obstawienie tej przestrzeni myśliwymi jest już tylko szczegółem. Głównemi zasadami są: niezbyt głośne gonienie na wagę lasu, z możliwie dobrym wiatrem i bezwzględna cisza, oraz maskowanie stanowisk.



Środkowy basior stanowi trofeum p. Starosty Syski.

Cóż za rozkosz, kiedy po pewnym czasie przesuwać się zaczną po ostępie płowe cienie starych wilków, lub zamajaczy szary kontur wilka młodego, a po chwili trzask strzałów przerwie głębszą ciszę lasu. Sztuką jest otropić, ale również sztuką jest czy to kulą, czy to śrutem na miejscu wilka rozciągnąć, gdyż cicho goniony zwierz jest bardzo ostrożny, a na złe trafienie nadzwyczaj odporny. Dlatego też całkowite fladrowanie miotu było, jest i będzie klasycznym sposobem tego rodzaju polowania, dającym największą przyjemność i rokującym najlepszy rezultat. Naturalnie nie dotyczy to polowań, urządzanych przez myśliwych, stale zamieszkujących wilczy teren. Dla nich zbyteczne jest fladrowanie ostępu. Wystarczą flanki, a często nawet parę gałganków.

Co do samego tropienia, to przedewszystkiem nie trzeba dać się zasugerować przez miejscowych gajowych lub kłusowników, że wilki cały dzień chodzą, lub że zawsze leżą w tych samych miotach. Wilki poza okresem cieczki i wypadkami, kiedy są bardzo głodne, zawsze w dzień się kładą. Czynią to często bardzo późno i wybierają najróżniejsze miejsca. Ostępy te w zimie bywają tak różne, że tylko dokładne i żmudne tropienie, oraz bystra obserwacja potrafią je ustalić. Zdarzyło mi się wilki otropić w nawozie na polu, robiłem udane ostępy w głuchym lesie, w gęstych zagajach nad drogami, lub w przepaścistej łozie. Prawidła tu niema, są tylko weksle wilcze i mniej lub więcej ulubione przez nie ostępy. Dobrych tropicieli wilków wśród chłopów i gajowych na całych naszych kresach prawie niema, a tam gdzie są dziki, niema ich wcale, gdyż każdy z nich woli pójść za dzikami, bo to i łatwiej i mięso pociąga.

Wówczas też rodzą się wśród nich gadki, że wilki się nie kładą i że chodzą światami. Wyjątkami jest tych kilku, którzy mieli specjalne zamiłowanie w tym kierunku i którzy przy umiejących tropić myśliwych przeszli odpowiednią szkołę. Takim naprzykład jest Bahur w Poleskiem Towarzystwie, lub Bohat'ko w Stasińskiem nadleśnictwie Ordynacji Dawidgródeckiej.

Łatwiej sprawa się przedstawia w kniejach, gdzie wilki są mniej więcej stałe i gdzie innej zwierzyny, oprócz czasem rysia, niema, jak w Woropajewie, lub w podobnych lasach Wileńszczyzny. Tam nawet mniej utalentowany gajowy wilka otropi, ale też i zadanie jest dużo łatwiejsze.

Przechodząc do konkluzji, uważam przedewszystkiem, że łowy z fladrami na wilki są w Polsce, obok rykowiska jeleni w Karpatach i toków głuszcowych na wschodnich mszarach, najpiękniejszem i najbardziej atrakcyjnem dla miejscowych i zagranicznych myśliwych polowaniem; że tam, gdzie wilki mają swoją stałą ostoję, powinny być otoczone pewną opieką i opolowywane wyłącznie w zimie z fladrami. Dotyczy to w pierwszym rzędzie tych lasów Wileńszczyzny, Nowogródczyzny i Polesia Wołyńskiego, gdzie łosi, dzików i sarn niema, lub prawie niema. Jednak i tam, gdzie wilki przebywają razem z inną zwierzyną, jestem zdania, że mogą one być tolerowane, gdyż według mnie, stałe gniazdowe wilki tak wielkiej szkody wśród zdrowej i przyzwyczajonej do nich zwierzyny nie robią. Tembardziej, jeżeli są karmione, a karmione być muszą. Inaczej sprawa się przedstawia z wilkami wędrownemi, lub przypadkowo się gnieżdżącemi, gdyż te zazwyczaj dla zwierzostanów sarnich są zabójcze, niszczą je często nietylko dla karmy, ale dla zaspokojenia swoich krwiożerczych instynktów i z zasady do padliny nie podchodzą. Trzymają się one stale lasu, pod wsie nie podłażą i ciągle polują. Te wilki muszą być tępione, chociażby przez straż leśną, tembardziej, że zazwyczaj są bardzo ruchliwe i złapanie ich w sznury jest dziełem przypadku. Wilki wędrowne szczególnie nawiedzają bardziej na południe i na zachód wysunięte lasy Wołynia, a czasem nawet przechodzą Bug na tereny b. Kongresówki. Te wilki, jak również i wilki karpackie do zorganizowanych polowań z fladrami absolutnie się nie nadają. Specjalnie również muszą być traktowane skupiska łosi i jeleni, gdzie wilki mogą czynić duże szkody.

Na pozostałych jednak wschodnich obszarach wilk w imię dobra ogólnej gospodarki łowieckiej polskiej winien być szanowany i do pewnego stopnia ochraniany, polowanie na niego musi być zorganizowane i pod względem odstrzału racjonalnie prowadzone, kadry polskich osoczników wilczych należy kompletować i odpowiednio ćwiczyć. Wszelkie trudy i koszty, poniesione w tym kierunku przez właścicieli i dzierżawców wilczych terenów, sowicie się opłacą, przynosząc chlubę polskiemu łowiectwu i wielką satysfakcję im samym.

ROMAN POTOCKI.

JESZCZE W SPRAWIE KOTŁÓW.

Zagadnienie to, istotnie niesłychanej wagi, zostało poruszone w Nr. 31 „Łowca Pol." z 1935 r. przez p. Bron. Adamowicza i w Nr. 34 z 1935 r. czytamy artykuł w tej samej sprawie pióra p. M. Abramowicza, traktującego o supremacji metod pędzenia i ławy — uważanych przez autora jako „jedyne sposoby polowania u nas". Sądzę subjektywnie, że, z punktu widzenia ściśle „myśliwskiego": tak — strzeleckiego, jak i ekonomicznego — trudno jest nie polować „kotłem", gdyż nie można pozbawiać hodowcy możliwości odcinania kuponów od swego żywego zajęczego kapitału w łowisku.



Zawsze pożądane trofeum. Fot. J. Wysocki.

Praca p. Adamowicza, jako prowadzącego w Ofic. Klub. Łowieckim garnizonu Grodno, wszystkie zbiorowe polowania na przestrzeni 54,000 ha, poczynając od sezonu 28/29 r. do bieżącego, jest dobitnem potwierdzeniem nieszkodliwości kotłów pod względem podnoszenia stanu zajęczego na poszczególnych terenach.

Rzut oka na cyfry 105 (sez. 29/30) i 987 (sezon 33/34) upewnia, że mówią same za siebie!

Wymowa liczb jest matematyką nieomylną i tak dobitnie realną, że odpadają wszelkie inne, nawet najbardziej, zda się, logiczne wywody i uzasadnione kategorje rozumowań.

Opracowana bardzo ściśle przez p. Adamowicza teza jeszcze raz potwierdza zupełną słuszność postulatów redakcyjnych „Łowca Polsk.", że jedynie walka z kłusownictwem, wnykarzami i drapieżnikami, opolowywanie rokrocznie połowy li tylko terenów, a także wyśmienity zabieg, według słusznej uwagi p. Red. Garczyńskiego — używania psów-aporterów, w czasie polowania kotłami, celem wytropienia zajęcy, „poszkodowanych" przez tak zwanych „strzelaczy - rekordzistów" — najzupełniej uzasadniają, całkowitą racjonalność tej metody polowań u nas.

Zresztą — trudna rada!..

Lekceważyć niemal klinicznej pracy hodowcy nad swym zwierzostanem nie wypada! Musi on mieć nietylko ekwiwalent gotówkowy, ale też i moralną satysfakcję!..

Artykuł w Nr. 31 opracowany jest, można powiedzieć, więcej niż rzeczowo. Szczególnie zasługuje na uwagę i zupełny aplauz ta okoliczność, że dopiero „drogą eksperymentalną" przekonywa nas autor o faktycznych wynikach tej metody łowów, uzbrojony wymową cyfr!

Niemożliwość ingerencji co do unormowania stosunku płci — dałaby się praktycznie uskutecznić przez odstrzał samców w maju. Tak *horribile dictu*, powtarzam: w miesiącu słowików. Pisałem już o tem przed kilku laty! Praktykowałem to zastosowanie eleminacji zbędnych gachów ongiś, w moich Wierzchowieńskich rewirach.

Odbywała się ta bolesna i tak niemyśliwska, zdawałoby się, operacja na polach ozimin wiosennych!

Pierwszy szarak zawsze należał do płci pięknej! Nie zdarzyła mi się nigdy żadna pomyłka. Z reguły strzelać trzeba było tylko do następnych sztuk podczas parkotów. Żadne *errare* nie do pomyślenia, gdyż nie masz śród gachów osobników o inklinacjach wschodnich, nawet — na Wschodnich Kresach!

Niestety, ten sposób dziś jest kompletnie nie do za-

stosowania z powodów nieetycznego oddziaływania na ludność, no i wymaga strażników o pewności murowanej. Osobiste wykonanie zaś jest w znacznej mierze wstrętne poprostu!

W każdym bądź razie należy się Sz. Autorowi „Troski o zwierzostan" szczera podzięka świata myśliwsko - hodowlanego za jego szereg trosk odnośnie tak bliskich sercu problematów i rzetelnego ich opracowania.

Wszystkie poruszane „nastroje" i „koszmary" przeżyć biednych zajączków, o których pisze p. Abramowicz, są niezawodnie z punktu widzenia sentymentu — ogólno-ludzkiego zakroju miłosierdzia każdego kulturalnego człowieka — bardzo nawet słuszne! Każdy z nas nieraz je odczuwa.

Lecz powiem, że życiowo są nieco, a nawet bardzo przesadzone. Wkraczamy bowiem w labirynty neurastenicznego przeczulenia, nie do zastosowania w praktyce łowieckiej.

Jest to postulat dobrotliwości, którego, niestety, „nie gwałcić" możemy, li tylko zaprzestając polować.

O krok jeszcze i przyjdziemy do wegetarjańskiej wiary! Bo jarosze też wychodzą z tych samych zasad... Prorok z Jasnej Polany na niej zbudował cały system. Wątpię bardzo, czy dobijanie ptactwa zbarczonego, nawet dostrzeliwanie męczącej się sztuki przy ułatwianiu jej przejścia w Nirwanę nie sprawia jej bólu.

A jednak, właśnie „etyczny" myśliwy w podobnych wypadkach bezwzględnie „tak" postępować musi.

Nawiązując do postulatu Sz. Autora „Kotła, pędzenia, czy ławy", że „niech każdy poluje, jak kto chce, byle etycznie, z dodatkiem: tylko nie w kotły", powiem:

Wybaczy mi Sz. Autor, że same życia myśliwskiego „żelazne wymogi" najlepiej odpowiedzą na Jego wysoce szlachetne *desiderata*.

A życie twardsze nieraz bywa od hartowanego śrutu. Cóż robić? *La vie est la vie... la chasse aussi.* Musimy przeto polować w kotły, choć niezawsze i nie wszędzie!...

ADAM RZEWUSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 21 STYCZNIA 1936 ROKU.

Obecni p. p.: Przewodniczący Wacław Szperling, Maurycy hr. Potocki, red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, inż. Karol Rotkel, Józef Skrzypek, inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, inż. Kazimierz Tołłoczko, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 8 stycznia r. b.
2. Sprawa nowych legitymacyj związkowych.
3. Ustalenie terminu ukończenia prac Komisji Nowelizacyjnej.
4. Odznaczenia.
5. Sprawa dyplomu dla Premjera Prus gen. Goeringa.
6. Sprawy bieżące.
7. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 8 stycznia r. b. zatwierdzono bez poprawek.

Przyjęto do wiadomości protokół konferencji z dnia 12 stycznia r. b. w sprawie terminów ochronnych w województwach poznańskiem i pomorskiem.

Związkowe legitymacje dla członków popierających na rok 1936 postanowiono rozesłać tym Stowarzyszeniom Związkowym, które wpłaciły całkowitą składkę za rok ubiegły.

Termin ukończenia wznowionych prac Komisji Nowelizacyjnej — ustalony zostanie po porozumieniu się p. red. Garczyńskiego z Przewodniczącym Komisji, p. inż. Grabowskim.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Franciszkowi Kulikowskiemu, Staroście Powiatowemu w Ostrołęce;

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Janowi Slifirczykowi, sekretarzowi Kaliskiego Powiatowego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa;

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Władysławowi Lisowi, st. przodownikowi policji państwowej, komendantowi posterunku w Sarnakach (pow siedlecki).

W listopadzie r. 1934 Związek, na wniosek Komisji Propagandowej, wystąpił do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z prośbą o zalecenie do użytku władz szkolnych broszury p. t. „Żywot i myśli Kubusia", wydanej przez Śląskie Towarzystwo Łowieckie, a propagującej ochronę zwierzyny. Ministerstwo W. R. i O. P. pismem z dnia 6 stycznia r. b. odpowiedziało, iż wniosku tego nie uwzględnia, gdyż zagadnienie ochrony i umiłowania zwierzyny zostało wystarczająco ujęte w programach szkolnych wraz z całokształtem ochrony przyrody i nie wymaga dodatkowych zabiegów.

P. inż. Knothe nadesłał oświadczenie, iż nie może podjąć się opracowania schematu sprawozdawczego dla Delegatów Powiatowych, wobec przeciążenia innemi pracami z tytułu wielu już piastowanych mandatów w Związku.

Nad sprawą potrzeby wprowadzenia takiego schematu wywiązała się dyskusja, w której zabierali głos p. p.: red. Garczyński, inż. Rotkel, hr. Potocki, dyr. Śliwiński i inż. Knothe.

Postanowiono projekty, nadesłane przez p. p. dr. Żenczykowskiego i Ulma przekazać p. inż. Rotkelowi z prośbą o zreferowanie tej sprawy na następnem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego.

Skreślono z listy Stowarzyszeń Związkowych Koło Myśliwskie przy Zarządzie Stadnin Państwowych wobec likwidacji tegoż Koła z dniem 1 stycznia r. b.

P. p. Gędziorowski i Lisowski złożyli sprawozdanie z udziału swego, w charakterze przedstawicieli Związku, w posiedzeniu Naczelnej Rady Strzelectwa w Polsce.

Wydział Wykonawczy Związku złożył p. dyr. Gędziorowskiemu specjalne podziękowanie za obronę interesów strzelectwa myśliwskiego na tem posiedzeniu.



ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU PUŁAWY (WOJ. LUBELSKIE).

Czytało się już niejednokrotnie, że dla ułatwienia delegatom podawania ich sprawozdań będą przez naszą Centralę opracowane odpowiednie szematy. Ułatwiłoby to nietylko pracę nam, ale niemniej ułatwiłoby racjonalniejsze jej wyzyskanie, czy to dla celów statystycznych, czy poprostu dla pełniejszego zorjentowania się o stanie łowiectwa w poszczególnych rejonach kraju. Tymczasem jednak przy czytaniu sprawozdań delegatów rzuca się odrazu w oczy zupełny brak usystematyzowanych materjałów, a co zatem idzie — mała ich przejrzystość i porównawcza wartość. Spróbuję tutaj podzielić moje obecne sprawozdanie na poszczególne punkty.

Uwagi ogólne. Żadne istotne zmiany w ilości lub rozszerzeniu obwodów łowieckich w stosunku do poprzednich danych (przytoczonych w ostatniem mojem sprawozdaniu) — nie zaszły. Nie zaszło, co gorsze, nic, coby gruntowniej ruszyło z miejsca dotychczasowy stan senności na gruncie ulepszenia gospodarki łowieckiej w powiecie. Ogólna stagnacja, panująca w życiu społeczno - gospodarczem, z jej skutkami, ograniczającemi wysiłki ludzkie niemal do troski o byt codzienny, powoduje coraz bardziej odsuwanie spraw łowieckich na szary koniec. Lecz brak ludzi, którzyby chcieli, czy mogli (więcej może to pierwsze), podjąć te sprawy i posunąć je naprzód, niemniej jest bardzo wybitny i godny pożałowania. Jeden delegat na powiat nawet przy najlepszych chęciach nie może wiele zrobić. Z konieczności przeto muszę ograniczać swoją działalność niemal tylko do interwencji wobec władz w sprawach łowieckich, asystowania przy rozstrzyganiu kar za kłusownictwo w referacie karnym starostwa i roli opinjodawczej wobec tychże władz.

Muszę przy tej sposobności zaznaczyć, że jest jeszcze bardzo daleko do zrozumienia właściwej roli delegata nawet w środowisku pp. myśliwych. Nikomu nie śpieszno pomódz mu w jego wysiłkach, niema również tendencji do podniesienia jego znaczenia i autorytetu w znaczeniu powagi pełnionych obowiązków, zarówno w środowisku własnem, jak i nazewnątrz. Co jeszcze smutniejsze, zarówno nadleśnictwa rządowe, jak i dyrekcje tychże, również w żadnym wypadku nie akcentują swych chęci w tym kierunku. Będąc pozostawionym sobie samemu, mimowoli zatraca się chęć do pracy i poczucie rzeczywistości, jakoteż zanika ambicja (względnie ta nie powstaje wśród nowych ludzi) w kierunku uzyskania lub utrzymania zaszczytnego mandatu delegata łowieckiego.

Pozwolenia na broń myśliwską i karty łowieckie. Stan obecny prawie się nie różni od okresu poprzedniego: wydano kart łowieckich 188, zaś oprócz tego 70 pozwoleń na broń myśliwską (bez kart łowieckich). Stan ten jednak nie odtwarza rzeczywistości o tyle, że nie wszyscy polujący wojskowi oraz państwowa służba leśna posiadają karty łowieckie (niektórzy mają karty, wydane przez swoje władze).

Walka z kłusownictwem. Jeżeli ją mierzyć ilością i jakością wymierzonych kar, to z tego punktu widzenia akcja ta ujawnia niewesoły stan rzeczy. Mianowicie starostwo wymierzyło następujące kary za kłusownictwo w kwartałach:

IV-1934 r.	ukarano 95 osób,	w tem grzywną ponad 10 zł.	3 osoby
		i aresztem ponad tydzień	14 osób
I-1935 r.	„ 146 „	w tem grzywną ponad 10 zł.	67 osób
		i aresztem ponad tydzień	40 osób
II-1935 r.	„ 33 „	w tem grzywną ponad 10 zł.	10 osób
		i aresztem ponad tydzień	2 osoby
III-1935 r.	„ 76 „	w tem grzywną ponad 10 zł.	23 osoby
		i aresztem ponad tydzień	17 osób

Jak wiadomo, dane statystyczne niezawsze odtwarzają właściwy stan rzeczy. Jeszcze bardziej może to się odnieść do walki z kłusownictwem. Śledząc to zagadnienie od tylu lat na terenie jednego i tego samego powiatu, nabieram przekonania, że jest to walka niemal zupełnie jałowa. W każdym razie jeżeli obserwuje się gdzieniegdzie poprawę stosunków, to nie jest ona wynikiem zwalczenia przestępców, lecz lokalnego podniesienia stopnia ochrony zwierzostanu, na skutek czego kłusownictwo przenosi swoją działalność do innego punktu, gdzie ta ochrona jest słabsza.

Dwie są — mojem zdaniem — przyczyny takiego objawu. Pierwsza i główniejsza — to fakt dobrze znany wszystkim kłusownikom, że od wymiaru kary do jej odcierpienia jest jeszcze bardzo daleko. Od wyroku starostwa niemal z reguły następuje apelacja (nic nie kosztuje) do sądu okręgowego, który najczęściej bardzo wydatnie kary zmniejsza. Według statystyki, przeprowadzonej przez referat karny starostwa, ponad 90% kar, wymierzonych w I-ej instancji, zostało przez sąd okręgowy zmniejszonych do jednej trzeciej. Jaki to wywiera fatalny wpływ w kierunku dalszego opanowania kłusownictwa — nie potrzeba wyjaśniać. Najgorzej jest jednak z wykonaniem kary: uprawomocnienie wyroku następuje dopiero po bardzo długim czasie, ba, trwa to tak długo (zapewne wskutek przepełnienia więzień i aresztów), że w międzyczasie kłusownik popełnia nowe przestępstwo, a jego otoczenie nabiera przekonania bezkarności za kłusownictwo wogóle. Mamy tu jednego szczególnie złośliwego kłusownika, który w okresie około 2 lat trzykrotnie apelował od coraz mocniejszych wyroków starostwa do sądu, przegrywał i tam, lecz do dnia dzisiejszego pozostaje na wolności. Jeżeli te warunki wydatnie nie zmienią się przy nowelizacji ustawy łowieckiej, nasze wysiłki niewiele pomogą.

Niemniejszą klęską (drugą) są psy i koty, ogołacające łowiska w zastraszający sposób. Walka z tem złem jest bardzo ciężka. Oprócz kategorji psów, zaprawionych do kłusownictwa i z tego niemal żyjących, a które wyniszczyć trudno, bo polują niemal wyłącznie w nocy — istnieje jeszcze kategorja takich psów, które wiernie pozostają pod opieką swych właścicieli w czasie robót w polu, na pastwiskach, w lesie i t. d. i polują z równie dobrym skutkiem o każdej porze roku. Te nawet strzelać trudno bez narażenia się na duże przykrości. Co uchowa się przed psami, niejednokrotnie ginie od dzieci, pozostających bez jakiejkolwiek opieki, zwłaszcza w święta, w polach i lasach. O wnykach nawet nie wspominam: niema władzy karnej, któraby tę plagę wypleniła; zaradzić temu może jedynie ogólne podniesienie kultury wsi.

Stan zwierzyny. Trudno go scharakteryzować bez posiadania danych, przynajmniej na podstawie odstrzelonej zwierzyny. Można mówić jedynie ogólnikowo w oparciu o rozmowy i osobiście zebrane dane od znajomych. Dziki utrzymują się mniej więcej na poziomie stałym. Chociaż odstrzał oficjalny jest bardzo niewielki, lecz sporo ginie z zasadzki na szkodach, czynionych przez dziki w okresie letnim. Stan sarn jest podobny. Zajęcy w naszym powiecie nigdzie (nawet w przybliżeniu) niema w ilościach, o których się słyszy i czyta w kronice „Łow. Pol.". Sezon bieżący jest wyjątkowo zły, prawdopodobnie z powodu zimnej wiosny i bardzo mokrego lata. Dla tejże niewątpliwie przyczyny stan kuropatw był o 50% niższy, ale jeszcze możliwy.

Uwagi końcowe. Może jestem pesymistą, ale muszę przyznać, że nie widzę realnej korzyści dla łowiectwa w pracy delegata, osamotnionego w powiecie. Wobec zupełnego braku współpracy z nim (poza władzami administracyjnemi w niewielkim stopniu) czynników naprawdę miarodajnych dla łowiectwa, a przedewszystkiem zarządów lasów państwowych i prywatnych, nie mówiąc o właścicielach, czy dzierżawcach mniejszych łowisk, delegat pozostaje właściwie tylko figurą. Według mojego przekonania, dokąd nasze społeczeństwo nie rozumie jeszcze należycie całej mocy zorganizowanego współdziałania, stanowisko delegata — nietylko zakres jego obowiązków, ale i prawa — musi być ujęte ustawowo.

Dr. STEFAN LEWICKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Puławy.

Z POWIATU RADZYŃ PODL.

Obszar zarejestrowanych terenów łowieckich w powiecie radzyńskim (woj. lubelskie) wynosi 89.529 ha i składa się ze 132 obwodów.

W 1934 r. starostwo wydało 121 kart łowieckich, w 1935 r. — 103.

Na terenie powiatu działają 3 zrzeszenia łowieckie, z czego Radzyńskie Towarzystwo Łowieckie w Radzyniu Podlaskim należy do P. Z. S. Ł. — Pozostałe dwa, t. j. Międzyrzeckie Kółko Łowieckie i Koło Myśliwskie w Komarówce, dotychczas swego akcesu nie zgłosiły, mimo kilkakrotnych przypomnień w tej sprawie ze strony delegata Związku. Radzyńskie Towarzystwo Łowieckie liczy 21 członków. Działalność tego stowarzyszenia chwilowo ogranicza się do organizowania na swych terenach polowań oraz do organizowania raz w roku konkursu strzelania

do rzutków w Radzyniu, w dość skromnym zakresie. Impreza ta ma raczej na celu propagandę strzelania myśliwskiego na terenie powiatu, niż dekorowanie „mistrzów" strzelania do rzutków. Z drugiej strony daje to możność szlachetnego współzawodnictwa w zdobyciu pamiątkowych nagród. W programie Towarzystwa jest wprowadzenie racjonalnego odświeżania krwi, niestosowanego dotychczas z powodu braku środków.

Delegat posiada spis osób, otrzymujących karty łowieckie. Starostwo przy wydawaniu kart łowieckich w kilku wypadkach brało pod uwagę opinję delegata i kilka kart łowieckich na jego wniosek odebrało.

Zwierzostan w powiecie: jeleni około 20 sztuk, przechodnich z sąsiedniego, łukowskiego powiatu; ostoi dzików 8 o ogólnej ilości sztuk około 250. Stan sarn średni, lecz podnoszący się z roku na rok, przyczem między porożami znajdują się obecnie i sztuki kapitalne, o czem kilka lat temu nie było mowy. Zajęcy stan średni, na 20 mórg przeciętnie przypada 1 zając. Celem odświeżenia krwi, w r. 1934 zarząd dóbr Suchowola sprowadził 50 sztuk samic, a zarząd dóbr Borki — 25 sztuk.

Hodowle bażantów, przeważnie na dziko, prowadzone są w dobrach: Suchowola, Branica, Białka, Borki, Międzyrzec, Jabłoń. Stan kuropatw podnosi się wybitnie i nie daje się porównać ze stanem z przed kilku lat. Kilkanaście tokowisk cietrzewi daje rocznie ok. 30 kogutów.

Racjonalna gospodarka łowiecka prowadzona jest w kilku łowiskach, a mianowicie: w Suchowoli S. ks. Czetwertyńskiego, Jabłoniu S-ów T. hr. Zamoyskiego, Plancie hr. Grocholskiej Białce W. Dernałowicza, Borkach S-ów Z. Jaźwińskiego i in.

Dobre warunki rozwoju zwierzyny należy przypisać między innemi i temu, że prawie wszystkie obszary dworskie znajdują się w rękach myśliwych, dbałych o swoje i dzierżawione łowiska. Zakładanie remiz, budek dla kuropatw, paśniki i poletka, a przytem intensywne tępienie drapieżników stosowane jest obecnie prawie wszędzie.

Propagandę łowiecką na terenie powiatu prowadzi Radzyńskie Towarzystwo Łowieckie, rekrutując w swych szeregach członków z różnych sfer. Wprowadzenie pewnych rygorów na polowaniach zbiorowych wyrabia i podnosi etykę myśliwską. Akcja rozpowszechniania „Łowca Polskiego" nie dała zapowiadanych rezultatów, gdyż mimo stosunkowo niskiej prenumeraty, małe zainteresowanie pismem fachowem łowieckiem tłomaczyć należy tylko ciężkiemi czasami i ograniczeniem budżetów własnych.

Ważną kwestją jest sprawa organizacji zbytu zwierzyny, dotychczas nieuregulowana, która dałaby możność uzyskania wyższych od miejscowych cen na zwierzynę i ostatecznie przekonałaby sceptyków, iż łowiectwo może być w pewnych warunkach poważną gałęzią dochodu rolnika w jego osobistym, a w kraju ogólno - narodowym majątku.

Podane osobno, a zebrane według posiadanych danych przez delegata P. Z. S. Ł., rezultaty polowań w okresie sprawozdawczym uzupełniają niniejsze sprawozdanie, odnośnie zwierzostanu.

Kłusownictwo, rozpanoszone od czasu rozbrojenia Niemców do niebywałych rozmiarów, od 1933 roku tępione bezwzględnie przez kategoryczne zarządzenia i postępowanie Starosty Powiatowego p. Henryka Banaszkiewicza, polega w lwiej części na zastawianiu wnyków i sideł przez małoletnich. Wypadki napotkania kłusownika z bronią w ręku należą do bardzo rzadkich, tem niemniej z miejsca surowo karanych. Właściciele większych łowisk otrzymali okólniki delegata, zwracające uwagę na możność karania przestępców za kłusownictwo według kodeksu karnego i możność uzyskania po wyroku zasądzającym w sprawie karnej — wyroku cywilnego tytułem odszkodowania za ubitą zwierzynę, co poważnie zniechęcić może do kłusownictwa.

Na zakończenie podaję, iż w dn. 28 grudnia 1935 r. miało miejsce udekorowanie przezemnie, jako delegata Związku, bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej komendanta posterunku p. p. w Komarówce Podl. Antoniego Siejki, za zwalczanie kłusownictwa. Medal ten jest pierwszym medalem, przyznanym w powiecie radzyńskim.

Daj, Święty Hubercie, by od tej pory powiat radzyński miał możność więcej takich uroczystości oglądać, by było za co i kogo nagradzać.

ZYGMUNT JAŹWIŃSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Radzyń Podl.

DOBRE I ZŁE.

Wychodzący w Łucku tygodnik „Wołyń" ogłasza w Nr. 2 z r. b. niezmiernie pocieszający objaw w sprawie tworzenia t. zw. spółek łowieckich, które np. w powiecie Dubno przystąpiły masowo do rejestrowania obwodów łowieckich poszczególnych wiosek.

Rady gromadzkie w tym powiecie postanowiły wydzierżawiać prawo polowania wyłącznie kółkom i stowarzyszeniom myśliwskim, dążąc w ten sposób do najracjonalniejszego przeprowadzania odstrzału zwierzyny i jej ochrony.

Dochód, uzyskany z tego źródła w postaci czynszu dzierżawnego, rady gromadzkie przeznaczają na kulturalno - oświatowe potrzeby wsi, w pierwszym rzędzie na zapoczątkowanie akcji bibljotecznej.

Krótka wzmianka na łamach „Wołynia" nic więcej w tej sprawie nie mówi, widać redakcja nie docenia ani samej istoty opisanego zwrotu w tej dziedzinie gospodarstwa i obywatelskiej akcji samorządu wiejskiego, ani głębokiego odczucia kulturalnych braków wsi przez te jednostki, które z pośród samorządu powiatowego i gminnego, a także przedstawicieli miejscowego nauczycielstwa, przyczynić się niewątpliwie musiały długotrwałą pracą do zwycięstwa tych szczytnych idei, zmierzających do kulturalnego rozwoju kresowego społeczeństwa wiejskiego.

Wręcz oświadczamy, że pragnęlibyśmy wiedzieć imiona zasłużonych na tem polu obywateli powiatu dubieńskiego.

System dążenia do zaktualizowania naturalnego bogactwa, zawartego w zwierzostanach przez gromady wiejskie, zapoczątkowany planowo przez powiat dubieński, stanowić będzie jednocześnie przykład dla innych powiatów kraju do nielekceważenia tej dziedziny gospodarczej i niemarnowania jej wartości przez fałszywe zapatrywanie o powszechnem dotąd nastawieniu wsi do spraw rodzimego łowiectwa.

Oby przykład ten znalazł jak najprędzej licznych naśladowców i zmienił nareszcie anemiczne oblicze wiejskich terenów łowieckich, dostarczając materjału dla systematycznego wznoszenia gospodarki łowieckiej w całym kraju i wypleniając nareszcie coraz większą swawolę kłusowników, niszczycieli ogólnego dobra narodowego.

WUZET.

PRZYCZYNY PADANIA ŁOSI W NADL. WIADO.

(—zet—) W roku ubiegłym, jak o tem donosiliśmy, zanotowano szereg padłych sztuk łosi w państwowem nadleśnictwie Wiado i najbliższej okolicy.

Pierwotne badania nie odkryły istotnych przyczyn, ani pochodzenia choroby.

Dopiero dalsze badania bakterjologiczne, dokonane przez stację badawczą w Białowieży, stwierdziły u padłych sztuk zarazek posocznicy krwotocznej (Bolinger — zaraza bydła i zwierzyny).

Jednocześnie stwierdzono, że występujący u łosi zarazek jest wyjątkowo mało zjadliwy i tem tłomaczyć należy stosunkowo niewielkie straty wśród zwierzostanu łosi, szczęśliwie nieogarniętego tą chorobą o cechach gwałtownej epidemji.

Z KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE.

Zarząd Klubu zawiadamia, że w dn. 4 lutego r. b. o godz. 8 wiecz. w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego odbędzie się doroczne Walne Zgromadzenie członków Klubu.

Po ukończeniu obrad o godz. 9 wiecz., dla członków, ich rodzin i wprowadzonych gości, zostanie wygłoszony przez p. J. Dylewskiego sędziowski odczyt pod tytułem:

„OCENA SETTERÓW W POLU".

Wejście na odczyt bezpłatne.

Na zakończenie, dla zawiązania szerszej łączności między miłośnikami psa myśliwskiego, odbędzie się wspólna towarzyska kolacja.

O LONDYŃSKIEJ WYSTAWIE ZDJĘĆ Z NATURY.

W swoim czasie zwróciliśmy uwagę naszych Czytelników na Międzynarodową Wystawę Zdjęć z Natury, urządzoną w Londynie kosztem Country Life, tygodnika powszechnie znanego, poświęconego, jak tytuł jego na to wskazuje, życiu wśród przyrody. Wystawy tego rodzaju, o takich rozmiarach, dotąd nigdzie nigdy nie było. Od roku 1897, t. j. od początku swego istnienia, Country Life stale umieszczał w swoich numerach zdjęcia żywych ptaków i ssaków, a w 1935 roku postanowił zaprosić świat cały do wzięcia udziału w wystawie, któraby zgromadziła wszystkie najlepsze zdjęcia, dokonane jednakowoż jedynie w naturalnych, dzikich ostojach, a nie np. w ogrodach zoologicznych. Celem tej wystawy było przedewszystkiem pokazać piękność żywej przyrody szerokim warstwom publiczności. Wstęp dlatego był bezpłatny. Dalej chciano rozbudzić zamiłowanie przyrody i zachęcić do robienia dalszych podobnych zdjęć.

Tego rodzaju wystawa jest na czasie. Ogólnie bowiem, we wszystkich krajach widzimy, że przemęczona dzisiejszemi przeżyciami ludzkość instynktownie zwraca się ku przyrodzie. To, co widzą i co odczuwają, dla wielu jest nowością, dla wielu jednak wypoczynkiem, lub nieraz więcej jeszcze, bo lekarstwem.

Dalszym jeszcze celem tygodnika Country Life był pokaz rozwoju techniki fotograficznej i dla porównania wystawiono w osobnem skupieniu również i stare zdjęcia, dokonane przed wielu dziesiątkami lat, w czasach gdy ci pierwsi entuzjaści, chcąc otrzymać zdjęcia żywych, ostrożnych, ruchliwych stworzeń, olbrzymie mieli trudności do pokonania, dźwigając ogromne, ciężkie, nieporęczne aparaty i trójnogi, a przytem ówczesne mało czułe szklane płyty fotograficzne wymagały długiego naświetlania. Pełni podziwu i uszanowania stoimy przed temi prymitywami. Jako przykład wysiłków, jakie nieraz były potrzebne, by ówczesny pionier - fotograf uzyskał dobre zdjęcie, zawieszono takie dwa obrazki obok siebie. Na jednem zdjęciu na łące, w trawie po pas stoi p. Richard Kearton z ogromną kamerą na ramieniu, obok zaś stoi ogromny wypchany wół. Na drugiem zdjęciu skowronek, ukryty w wysokiej trawie, karmi swoje pisklęta. Z grzbietu tego wołu sfotografowano to ciche, skromne życie familijne.

Wszystkie państwa wszystkich kontynentów zaproszone zostały do nadesłania zdjęć. Olbrzymie ilości nadeszły, o tak doskonałej jakości, że Komitet Wystawy wielkie miał skrupuły i trudności w dokonaniu wyboru, gdyż mimo ogromu Hall'u Wieloryba, którego Britisch Museum w Oddziale swym dla Historji Naturalnej w dzielnicy South Kensington na ten cel użyczyło, zdołano tam umieścić tylko 1.309 zdjęć, ale o rozmiarach poważnych 40 na 50 cm.

Australja, Indje, Afryka, Nowa Zelandja, Ameryka północna i południowa, Japonja, kontynent Europejski i oczywiście Wielka Brytanja są tam reprezentowane. Uwagę zwiedzających zwraca przedewszystkiem tygrys bengalski, wolno kroczący przez dżunglę, arcydzieło powiększenia; rozmiar na długość wynosi 8 stóp angielskich, czyli przeszło dwa i pół metra.

Zdjęć czworonogów wystawiono 384, ptaków zaś 925. Niektóre zdjęcia robione są z odległości kilku metrów. Słonie, nosorożce, hipopotamy i inne groźne bestje niesamowicie blisko stają na sztych przed nami. Zdjęcia ptaków, technicznie niewątpliwie najtrudniejsze, wymagały napewno wielu godzin, lub nawet wielu dni mozołu i cierpliwości. Najrozmaitsze fazy życia ptasiego mamy przed sobą. Ptaki te tokują, biją się, łowią ryby, karmią pisklęta lub obojętne, znudzone siedzą na gniazdkach, albo też zbite w olbrzymie stada ulatują w dal.

Jeden zabawny obrazek godzi się opisać. Ogromna kukułka, zupełnie już wyrośnięta, siedzi na gałęzi, głowę wykręciła wstecz, ponad swój grzbiet, a na jej grzbiecie siedzi malutka makolągwa, troskliwa przybrana matka, trzyma w dziobku gąsienicę, którą zaraz wpuści w olbrzymią rozwartą gardziel swej pasierbicy, czy jak tam nazwać.

Nie sposób jednak całości wystawy opisać. Za wiele tego. Ograniczymy się tylko do opisu udziału Polski.

Nasza Państwowa Rada Ochrony Przyrody ze swych bogatych już zbiorów i, korzystając z życzliwej pomocy naszych myśliwych i przyjaciół przyrody, wysłała 36 zdjęć, z których umieszczono pokaźną ilość, gdyż aż 21. Bardzo to wiele, jeśli zważymy jakich niebezpiecznych mieliśmy konkurentów o światowej sławie, stale a nawet zawodowo uprawiających ten sposób fotografowania. A przytem jakie oni tam mają aparaty!

Korespondent tygodnika Field wyraża się o naszych zdjęciach entuzjastycznie, nazywa je „wspaniałą serją myśliwską". Z tej więc serji Komitet Wystawy wybrał cztery zdjęcia żubrów z Białowieży i jedno z Pszczyny. Żubra naszego Anglik zwie „European Bison" w przeciwieństwie do „American Bison", którego znowuż Amerykanie „Buffalo" nazywają ku utrapieniu i wielkiej irytacji przyrodników angielskich. Amerykanie często mają swe odrębne nazwy, różne od ogólnie przyjętych. I tak np. wapiti zwie się u nich „Elk" czyli poprostu łoś, łoś zaś kanadyjski „Moose", nazwa od Indjan zapożyczona, a puma „Mountain Lion", czyli lew górski i t. d.

Lecz wracajmy do naszych zdjęć. Wzięto więc dalej dwa zdjęcia niedźwiedzia karpackiego, następnie żerującego odyńca, stado dzików, świstaka tatrzańskiego, stado jeleni w Spale, wilki, myszkującego lisa, zająca, kicającego w zaspie śnieżnej i dwa zdjęcia sarn. Z ptaków zaś wywieszono puhacza, bociany, brodzące w jeziorku, tokujące na brzozach cietrzewie, ciągnące krzyżówki i gęsi. A gęsi te — największe zrobiły wrażenie. Jest to zdjęcie dokonane przez p. inż. Burzyńskiego. Olbrzymia ich ilość w trzech czy czterech kluczach ciągnie ponad szczytami Karpat, na tle chmur. Korespondent Times'a wymienia je z podziwem i wyraża się, że „piszą runami po niebie". Ale co ciekawsze i tego, robiąc to zdjęcie, Szanowny Autor napewno nie przewidział, układem czy szykiem tych kluczy gęsi, łączących się w jedną grupę, zainteresowało się Angielskie Królewskie Stowarzyszenie Aeronautyczne i zwróciło się z prośbą o udzielenie im odbitki, którą umieszczą w swoim klubie dla zużytkowania w formacjach eskadr lotniczych.

Country Life wydał album pamiątkowy, w którym umieszczono sto najlepszych zdjęć i pomiędzy niemi widzimy tam nasze wilki, przesmykające się przez puszczę bagnistą na Polesiu.

Wystawa ta była otwartą od 16 października do 30 listopada.

Nasza Państwowa Rada Ochrony Przyrody nosi się z zamiarem urządzenia i u nas podobnej wystawy, oczywiście zdjęć li tylko w naszym kraju dokonanych, w nadziei, że to pobudzi i zachęci i naszych myśliwych i wielu, wielu innych do robienia zdjęć z natury.

Gdyż wiele jeszcze zdziałać można, wiele jest możliwości, wiele piękna ukrytego. Nasze łąki, wody i stepy, nasze jary puszcze i gaje pełne są zwierza, pełne są ptactwa. Sztucer, śrutówka niezawsze w robocie, a piękno przyrody tak ciągnie na pola, tak ciągnie do lasu...

ADAM STARZEŃSKI.

ROZMAITOŚCI.

SKUTKI CIEPŁEJ ZIMY.

(—zet—) Prawie zupełny brak charakterystycznych cech zimy, długotrwałe ciepła, prawie nigdy w grudniu i styczniu niespotykane w takiej trwałości i skali, wywołały, obok objawów wegetacji niektórych roślin i drzew, przedwczesną skłonność do parkotów u zajęcy.

Jeden z czytelników naszych z Dęblina donosi, że na polowaniu w dniu 5 ub. m. ubił na terenach kółka myśliwskiego samicę zajęczą, u której stwierdził daleko zaawansowaną kotność. Sekcja wykazała płód dwojga młodych mniej więcej trzytygodniowy.

Niewątpliwie nie jest to wypadek odosobniony, należy sądzić, że parkoty mogły w miarę przeciągającego się ciepła trafiać się w wielu okolicach kraju w większej ilości wypadków, toteż będziemy obserwować już w lutym prawdopodobnie pierwsze tegoroczne mioty zajęcze.

Oczywiście będzie to pokolenie stracone, gdyż trudno się łudzić, aby zima tego roku wcale nie wystąpiła w normalnej okazałości i srogości.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

WYSTAWA TROFEÓW MYŚLIWSKICH Z POLOWAŃ KOLONJALNYCH.

(Tłomaczenie artykułu p. François Edmond-Blanc, umieszczonego w piśmie francuskiem „Le Saint Hubert" 1 maja 1935 r.).

Ludwik Rollin, minister kolonji, obecnością swoją na wystawie trofeów myśliwskich, urządzonej przez autora 12 kwietnia, zaakcentował swoje oficjalne poparcie wystawy, która mieściła się w dużej galerji botanicznej Muzeum i odbywała się pod patronatem Związku wielkich polowań kolonjalnych francuskich— związku, na czele którego stoi markiz de Bartélemy. Ludwik Rollin był w otoczeniu pana prezydenta Alberta Sarraut, wice-prezydenta rady naczelnej kolonji francuskiej, pana M. Labbé generalnego komisarza wystawy na rok 1937; pana Helbrouner wice-prezydenta stałej komisji polowań w ministerstwie kolonji; pana Lemoine dyrektora Muzeum historji naturalnej; pana Raymonda Susset członka parlamentu z Paryża; pana Desnues wice-przewodniczącego Francuskiego Klubu św. Huberta (S. H. C. F.) pana Duvau generalnego sekretarza Towarzystwa przyjaciół Muzeum, hrabiego A. de la Chevasnerie, administratora — zarządcy Związku wielkich polowań kolonjalnych francuskich, wreszcie hrabiego d'Adix generalnego sekretarza Międzynarodowej Rady Łowieckiej — i wielu innych. Nazajutrz dali wyraz zainteresowania się wystawą Franciszek Pietri minister marynarki i jego ekselencja George Clark ambasador króla Jerzego V. przy rządzie Republiki Francuskiej. Wystawa ta była pod opieką Muzeum narodowego historji naturalnej, z pomocą stałej komisji łowieckiej i Towarzystwa przyjaciół Muzeum. W artykule powyższym autor zwraca się z podziękowaniem do zgromadzenia profesorów Muzeum narodowego historji naturalnej za ofiarowanie dla wystawy najpiękniejszej sali, do p. Duvau generalnego sekretarza Towarzystwa przyjaciół Muzeum, oraz do hrabiego de la Chevasnerie administratora - zarządcy Związku wielkich polowań kolonjalnych — za ich cenną współpracę w tem trudnem przedsięwzięciu. Pomysł zorganizowania w Paryżu wystawy trofeów kolonjalnych został zaczerpnięty przez autora podczas zwiedzania w Warszawie świetnie urządzonej wystawy zbiorów polskich, wystawy zorganizowanej z okazji III zebrania Międzynarodowej Rady Łowieckiej. Pan François Edmond - Blanc uważa, że jest to może skuteczny sposób, ażeby francuscy myśliwi kolonjalni zrozumieli, że na grubą zwierzynę powinno się polować, mając na względzie jej jakość, a nie ilość. Jakość zwierzyny ocenia się, biorąc pod uwagę długość rogów, pazurów i kłów, a u drapieżników długość ciała od końca nosa do końca ogona. Jest rzeczą o wiele cenniejszą zabicie jednego okazu specjalnie wielkiego, jak pięćdziesięciu średnich. Na nieszczęście brak instynktu sportowego, zawartego w powyższem twierdzeniu, prowadzi ludzi do mordowania całych stad zwierzyny; czynią to, nie znajdując w tak pojętem polowaniu wielkiej przyjemności, gdyż strzał do tych zwierząt bywa zazwyczaj niezmiernie łatwy. Wystawa ta jest więc przedewszystkiem wystawą propagandową, w celu ochrony wielkiej fauny kolonji francuskich. Posiada ona około 150 trofeów, z których dziesięć rekordów międzynarodowych, należących do 25 ludzi, pomiędzy którymi S. A. R. Mgr. duc d'Orleans i hrabia de Jauzé, nieszczęśliwie zginęli. Według spisu alfabetycznego: hrabia d'Adix, M. Baudinel, markiz de Barthélemy, M. H. de Boislambert, M. Chantre, członkowie ekspedycji „Citroën", markiz de Créqui - Montfort, M. Maxime Ducrocq, M. et M-me Eddy Edmond - Blanc, M. François Edmond Blanc, M. Germain, baron Gourgand, M. Jean Lebaudy, hrabia Bertrand de Lesseps, książe Pierre Murat, Muzeum Narodowe historji naturalnej M. P. Prud'homme, M. G. Ramecourt, M. Omer Sarraut, M. Raymond Susset. — Każde trofeum posiada etykietę, zawierającą nazwę zwierzęcia w języku francuskim, nazwy łacińskie, kraj z którego pochodzi, wielkość okazu, oraz sposób mierzenia go — i wreszcie wielkość największego znanego okazu z tego samego gatunku, a to w celu, aby każdy zwiedzający mógł wyrobić sobie swoje własne zdanie o wartości eksponatu. Pan Franciszek Edmond - Blanc był zawsze gotowy służyć ludziom, którzy chcieliby dodatkowych objaśnień. Wystawa ta trwała do 26 maja 1935 r. i była zwiedzana przez najróżniejsze grupy kolonjalne. Autor sam objaśniał zwiedzających i, jak zaznacza, starał się wytworzyć ten znany zmysł sportowo-myśliwski, kórego ludziom tak brak. Jeżeli mu się udało, będzie to wielki krok naprzód w celu ochrony zwierzostanu w kolonjach francuskich.

Publiczność, licznie zwiedzająca wystawę, zdała sobie prawdopodobnie sprawę z wagi wypraw, dostarczających tak rzadkich okazów, które mogą być wystawione, jak to ma miejsce w Muzeum ks. Orleanu, lub w Muzeum barona Gourgand w Ile d'Aix — to znaczy w otoczeniu, gdzie żyją te przedziwne i różnorodne zwierzęta.

Prawdopodobnie członkowie S. H. C. F., zwiedzający wystawę, nie żałowali straconego czasu i odnieśli korzyść z oglądania 150 trofeów, głów ubitych zwierząt i łbów wypchanych nosorożców, hipopotamów, koziorożców, bawołów, dzikich baranów i antylop i chociaż okazy te nie reprezentują wszystkich rodzajów grubego zwierza, zwiedzający mógł sobie zdać sprawę z fauny kolonjalnej.

Jest rzeczą pewną, że Związek wielkich polowań kolonjalnych dla zachowania bogactwa zwierzostanu kolonij francuskich będzie w dalszym ciągu skutecznie wspierał wysiłki stałej komisji łowieckiej przy ministerstwie kolonij, będzie dokładał starań pod protektoratem markiza de Barthelemy w rozwoju propagandy i organizacji lokalnych.

KŁUSOWNICTWO.

Od połowy m. października zauważyłem, że niejaki Trybuś Augustyn, lat 33, zam. w Popielowie, pow. Rybnik, brał dzierżawcy terenu łowieckiego gminy Marklowice Dolne, graniczącego z moim terenem łowieckim, prawie że codziennie strzela wcześnie rano i wieczorem do zwierzyny na samej granicy, a nawet powziąłem podejrzenie, że Trybuś poluje również na moim terenie w pobliżu swej granicy.

W podejrzeniu tem utrwaliły mnie wypadki odnajdywania na moim terenie w pobliżu granicy (o kilkadziesiąt mtr.) pierza świeżo ustrzelonych bażantów. Poleciłem wobec tego podwładnej mi służbie leśnej stałą inwigilację granicy marklowickiej i to z ukrycia. Już na drugi dzień po wydaniu wymienionego polecenia zameldował mi pomocnik leśny Kwaśnica, że Trybuś już wpadł w pułapkę. Trybuś szedł mianowicie dnia 24.X ub. r. granicą z wyżłem, któremu wzdłuż granicy kazał przeszukiwać nasz teren. Właśnie w pobliżu miejsca ukrycia pomocnika leśnego Kwaśnicy wyżeł wystawił w łubinie bażanty, poczem Trybuś wbiegł w łubin i z pośród zrywających się bażantów ustrzelił jednego koguta, kazał go psu swemu podjąć i zbiegł szybko wraz z psem na swój teren. Odległość miejsca strzału Trybusia od granicy wynosiła 50 mtr. Posuwając się granicą przed przekroczeniem jej, Trybuś rozglądał się ustawicznie bacznie dokoła, jak typowy kłusownik.

Gdy Trybuś, uciekając z naszego terenu, spostrzegł ścigającego go Kwaśnicę, zatrzymał się na swoim terenie łowieckim i próbował nakłonić go do zatuszowania sprawy.

Dn. 13.XI ub. r. odbyła się rozprawa w sądzie grodzkim w Wodzisławiu, na której Trybuś Augustyn został za wyżej opisane kłusownictwo ukarany grzywną w wysokości 30 zł. Od tego wyroku odwołał się oskarżyciel publiczny, więc mam nadzieję, że sąd okręgowy ukarze Trybusia dotkliwiej.

Zaznaczam, że Trybuś posiada kartę łowiecką, mimo że w całej okolicy ma opinję typowego kłusownika.

Znając zapatrywanie rybnickiego starostwa na takie sprawy, jestem przekonany, że po prawomocnym wyroku starostwo bezwarunkowo odbierze Trybusiowi kartę łowiecką.

Nadmieniam, że na części wodzisławskiej powierzonego mej pieczy terenu wyhodowuję corocznie około 1000 szt. bażantów, nie szczędząc trudów. Podwładny mi personel oczyszcza wzorowo teren z drapieżników i kłusowników, wyrządzają mi jednak olbrzymie szkody w zwierzostanie sąsiedzi, którym przeważnie obca jest jakakolwiek etyka łowiecka. Sąsiedzi moi rekrutują się przeważnie z chłopów małorolnych, restauratorów i bezrobotnych, którzy dzierżawią graniczące z naszemi terenami obwody łowieckie, płacąc niewspółmiernie wysokie czynsze, poczem naturalnie „odbijają się" przy mojej granicy, stosując wszelkie znane i nieznane kłusownicze sztuczki do zwabienia zwierzyny. W tych warunkach muszą z biegiem czasu hodowcy ręce opaść.

Przewodniczący spółek łowieckich, z reguły t. zw. naczelnicy gmin, nie mają najmniejszego zainteresowania dla spraw łowieckich i wydzierżawiają tereny łowieckie, niestety, najczęściej ludziom zupełnie nieodpowiednim, podobnym do Trybusia. Taki dzierżawca normalnie w pierwszym roku wybija zwierzynę do nogi, a potem bardzo często znajduje sposoby na to, by w gminie uzyskać poważną zniżkę czynszu. Tereny gminne są naturalnie przeważnie całkowicie pozbawione zwierzyny.

Nieszczęściem dla łowiectwa śląskiego jest ta okoliczność, że obowiązuje tu do tej pory stara, pruska ustawa łowiecka, pozwalająca na strzelanie wszelkiej zwierzyny w porze nocnej.

Inż. WACŁAW TRAWIŃSKI.

(—zet—) W powiatach Wileńszczyzny: dziśnieńskim i brasławskim władze bezpieczeństwa zajęły się w ostatnich czasach energicznem zwalczaniem kłusownictwa.

W pierwszej połowie ubiegłego miesiąca odebrano tam kłusownikom 30 strzelb i większą ilość amunicji, spisując odpowiednie protokóły.

WYPADKI NA POLOWANIACH.

(—zet—) „Kurjer Zachodni" donosi, że w maj. Mała Cerkwica (Pomorze) p. Alojzego Pokrzywnickiego odbywało się polowanie, na którem między innemi uczestniczył gość gospodarza, przybyły z Niemiec, p. Karol Niewóz.

Podczas polowania gość, idący obok syna p. Pokrzywnickiego, 15-letniego Jana, potknął się i przewrócił, przyczem niezabezpieczona broń jego wypaliła. Cały ładunek śrutu ugodził w brzuch nieszczęśliwego chłopca, powodując śmierć.

Przerażony tem Niewóz uciekł wprost z pola do Chojnic, gdzie wsiadł do pociągu tranzytowego w kierunku Niemiec i odjechał zagranicę.

*

(—zet—) Po polowaniu w maj. Białochowo pow. Grudziądz gajowy Ohm wypłacał należność naganiaczom, podczas czego jeden z nich wszczął z gajowym kłótnię na tle dawnej urazy, jaką do niego nosił.

Nie poprzestając na wymianie słów, osobnik ten dobył noża i ugodził nim gajowego w pierś, raniąc niebezpiecznie.

Ohma odwieziono do szpitala w Łasinie, napastnika zaś aresztowano.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 12, 13, 14 i 23 grudnia 1935 roku odbyły się polowania w 10 strzelb w lasach dóbr Krasne, Ludwiki ks. Czartoryskiej.

Pierwszego dnia opolowano część leśnictwa Suche (pow. Maków), gdzie ubito 51 zajęcy i 3 lisy.

Drugiego dnia polowano w leśnictwie Krasne (rewiry Suć i Helenów) z rezultatem: 279 zajęcy, 11 bażantów i 3 lisy.

Trzeciego dnia opolowano część leśnictwa Magnuszew, gdzie ubito 79 zajęcy i 2 lisy.

Przez wszystkie dni — pogoda, bezwietrznie.

Wreszcie dnia 23 grudnia r. ub. opolowano drugą część leśnictwa Krasne, gdzie ubito 40 zajęcy i 1 lisa. Spadły poprzedniego dnia duży śnieg spowodował, że najlepsze mioty mijały bez strzałów, bowiem gęsta okiść w zagajnikach stanowiła dla naganki nieprzebytą zaporę, toteż rezultat wypadł nieszczególnie.

Ogółem ubito: 449 zajęcy, 11 bażantów i 9 lisów.

— U pp. Gustawostwa Janaszów, w maj. Trembki w sezonie 1935 r. odbyły się następujące polowania:

23 i 24 września polowano w 11 i 12 strzelb na pędzone kuropatwy, ubito: 975 kuropatw, 1 lisa, 22 różnych; razem 998 sztuk.

28.X w 8 strzelb ubito: 410 bażantów kogutów, 60 kuropatw, 35 królików, 1 lisa, 5 różnych, razem 511 sztuk.

30.XII w 6 strzelb podniesiono 130 bażantów kogutów, 3 króliki, razem 133 sztuki.

Ogółem ubito na powyższych polowaniach: kuropatw 1035, kogutów bażantów — 540, królików 35.

— Dnia 4 stycznia r. b. odbyło się u p. Jana Cichowskiego w Zaborowie (pow. płoński) polowanie na zające w 14 strzelb. W 4-ch kotłach i 3-ch pędzeniach polnych zabito 190 zajęcy.

Najwięcej sztuk na rozkładzie miał p. Juljan Zienkiewicz z Warszawy.

— Dnia 21 grudnia 1935 r. odbyła się w Wierzchowiskach p. Jana Koźmiana obława na dziki z „czertą". Ubito 32 dziki (1 odyńca, 4 wycinki, 9 loch, 3 przelatki, 15 warchlaków) i 2 lisy. Udział brało 19-tu myśliwych. Strzałów naliczono 118.

— W dniach 16 i 17 września 1935 r. odbyło się w Jeziorkach (pow. Poznań) u pp. Stefanostwa Dąbrowskich polowanie na pędzone kuropatwy przy współudziale panów: Konstantego hr. Bnińskiego, Olgierda i Romana ks. Czartoryskich, Maurycego hr. Mohla, p. Alfonsa Kozieł - Poklewskiego, Adama hr. Potockiego i Zygmunta hr. Skórzewskiego. Łącznie zabito 717 kuropatw.

W dniach 26 i 27 listopada 1935 r. odbyło się polowanie na zające i bażanty przy współudziale panów: Adama i Romana ks. Czartoryskich, Józefa ks. Jabłonowskiego, Pawła hr. Potockiego, Pawła ks. Sapiehy, Fryderyka hr. Westphalen, Zygmunta hr. Wielopolskiego i Marcelego hr. Żółtowskiego. Rozkład wynosił: zajęcy 775, bażantów 766, kuropatw 202, różnych 15, razem sztuk 1.758.

Przez rok 1935 ubito w dobrach Jeziorki: kozłów 8, zajęcy 1.046 bażantów 1.057, kuropatw 1.132, kaczek 86, sarn-kóz 14, królików 29, ogółem zwierzyny łownej sztuk 3.372.

Szkodników — sztuk 478, w tem lisów 29, jastrzębi 118.

— Dn. 17.X ub. r. odbyło się polowanie w Tłokini (pow. Kalisz) u pp. I. Chrystowskich. W 10 strzelb ubito 361 bażantów, 9 kuropatw i 184 króliki; razem 554 sztuki. Największy rozkład miał p. Aleksander Lossow — 87 sztuk.

— Dn. 16.XI ub. r. odbyło się polowanie w Osuchowie (pow. Kalisz) u pp. Kazimierzostwa Żywanowskich. W 7 strzelb ubito 157 bażantów-kogutów, 22 kuropatwy, 94 zające, 62 króliki i 1 lisa, — razem 336 sztuk. Największy rozkład osiągnął p. Józef Krzyżanowski z Garlowa — 67 sztuk. Opolowano tylko około 75 ha zagajów i 20 ha poplonów, gdyż w tym sezonie przypadała przerwa.

Data	Łowisko	Gospodarz polowania	Lisy	Zające	Kuropatwy	Bażanty	Kaczki dz.	Różne
4. 1. 34	Białka	W. Dernałowicz	1	73	—	—	—	—
5. 1. 34	Ustrzesz	W. Rulikowski	—	42	—	13	—	—
10. 1. 34	Radzyń	Br. Szlubowski	—	70	—	—	—	—
11. 1. 34	Branica	W. Rulikowski	—	90	—	11	—	—
20. 7. 34	Borki	Z. Jaźwiński	—	—	—	—	50	—
25. 8. 34	"	" "	—	—	—	—	95	—
1. 9. 34	"	" "	—	—	98	—	—	—
4 i 5.9.34	Branica	W. Rulikowski	—	—	533	—	—	—
19.11. 34	Borki	Z. Jaźwiński	2	35	—	31	—	6
5. 1. 35	Białka	W. Dernałowicz	—	128	—	1	—	1
12. 1. 35	Ustrzesz	W. Rulikowski	—	100	—	6	—	—
14. 1. 35	Borki	Z. Jaźwiński	—	108	—	—	—	—
15. 1. 35	Żabików	S. Ośniałowski	—	89	—	3	—	—
19. 1. 35	Białka	W. Dernałowicz	—	70	—	—	—	—
11. 9. 35	Branica	W. Rulikowski	—	—	423	—	—	—
14. 9. 35	Borki	Z. Jaźwiński	—	—	152	—	—	—
16. 9. 35	Radzyń	Br. Szlubowski	1	—	98	—	—	—
17. 9. 35	Suchowola	S. ks. Czetwertyński	—	—	156	—	—	—
24. 9. 35	Borki	Z. Jaźwiński	—	—	—	—	148	—
26. 9. 35	Białka	W. Dernałowicz	—	—	104	—	—	—
12.10. 35	Żabików	S. Ośniałowski	—	—	75	—	—	—
29.10. 35	Borki	Z. Jaźwiński	—	—	—	47	—	—
9.11. 35	Białka	W. Dernałowicz	1	21	—	28	—	28
30.11. 35	Milanów	A. hr. Żółtowski	3	63	5	4	—	—
21.12. 35	Borki	Z. Jaźwiński	—	86	—	—	—	—
28,12. 35	Przegaliny	J. Szaniawski	1	28	—	—	—	—

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15